

St. 16

OFIARY ZABOBONU.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

Z ZESZŁEGO STULECIA

PRZEZ

FR. XAW. TUCZYŃSKIEGO.



MIKOŁÓW-WARSZAWA.

NAKŁADEM KAROLA MIARKI.



7571 S

884-3: 398.3/4

ZBIORY ŚLĄSKIE

Akc K Nr 104 | 75 | S

I.

Było to w końcu zeszłego wieku. Noc zapadła, lecz noc czerwcową jasną i przyjemną. Księżyc na niebie nie było, ale za to mały księżyc*) rzucał swe światło i psia gwiazda promieniami swymi oświecała ziemię. Cisza ponura zalega, nic się nie odezwie, nic nie zahuczy, nawet wilki i sowy cicho siedzą. Świętojańskie robaczki dziś płoną żywym światłem, bo dziś wigilia ich imienin, dzień 23 czerwca, czyli Wigilia św. Jana. Tajemnicze te światełka pełzając krzyżowały się wzajem, czasami na chwilę przygasały, aby potem jaśniejszym płonąć światłem.

Piękne są noce czerwcowe, a mianowicie około świętego Jana, gdyż wtenczas właściwie nocy niema, a czerwcowe światło zachodzącego słońca zdaje się nad widnokręgiem pomykać ku północy, stąd ku wschodowi, i zamienia się wreszcie w zorzę poranną. Po skwarnym dniu noc taka jest prawdziwym dobrodziejstwem dla ludzi, zwierząt i roślin.

*) Gwiazdę Wenerę, czyli Jutrzenkę, gdy świeci w całym blasku, zowie lud małym księżycem. Psia gwiazda nazywa się u astronomów: Syryusz.

Dzisiejsza noc nie jest jednakże tak piękna, jakby to się komu niedoświadczonemu zdawało. Coś tkwiało w powietrzu, dławilo gardło i sznurowało piersi, a skwar był prawie taki, jak za dnia. Najmniejszy powiew wietrzyka nie przerywał ciszy, listek osiny wisiał spokojniuteńko i nie drżał. Zwierzęta i ptastwo pochowały się po kniejach i jarach, tylko żaby rechtały późno w noc, aż i te wreszcie ucichły, i nad okolicą zawisła posępna cisza, jakby zwiastun groźnej katastrofy.

Traktem od Kłęcka prowadzącym do Kiskowa, szedł w tym czasie jakiś mężczyzna. Ubiór jego odświętny wskazywał, że był w mieście, a chód jego niepewny świadczył, co go to tam tak długo przytrzymało. Szedł zwolna, podpierając się grubym kijem. Mimo to samotny ten podróżny poskoczył nieraz kilka kroków jakby mimowolnie, gdy mu głowa zwisała, to znowu taczał się od lewej do prawej i od prawej do lewej strony. Mruczał coś pod nosem, pokrzykiwał, wreszcie zanucił wesołą piosnkę, aż się rozlegało po lesie, przez który prowadziła droga.

Wyszedłszy z lasu, ujrzał przed sobą wieś.

— Bogu dzięki, — wykrzyknął — bę-

dzie gdzie odpocząć i pokrzepić się, bo otóż i Kamieniec.

Pewność odpoczynku i pokrzepienia się dodały mu siły, że mu i głowa ciężyc jakoś przestała, i nie taczał się jak pierwej, tylko z radości uderzał kijem w każde drzewo na drodze.

Doszedłszy do wsi, zaraz skrecił do karczmy, z której okien migotało światło. Odsunawszy drewnianą klamkę, wszedł do gościnnej izby. Stanąwszy przy drzwiach, spojrzał wokoło. Żyd arendarz drzemał za szynkownym stołem; przy stole siedziało kilka osób, pomiędzy nimi dwaj mieszczanie z Kiszkowa.

Na odgłos zamykających się drzwi arendarz zerwał się na równe nogi a i goście spojrzeli w tę stronę. Głośny wykrzyk był dowodem ich zdziwienia.

—Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał jeden — a skąd lub dokąd o tak późnej porze?

— I ja Go chwale, — odrzekł przybyły, — a że się spóźniłem, nie dziw, bom był w Kłecku u zięcia na chrzcinach... Ano. arendarzu, mospanie, napróżno nie przyszedłem.

Arendarz domyślny podał kielich gorzałki, który przybyły ze smakiem wy-

próżnił, a utarłszy wąsy, mlasnął językiem na znak zadowolenia. Teraz wyprostował muskularne swe członki i bez ceremonii, nie zdejmując czapki, przysiadł się do stołu. Był to mężczyzna wysoki, dobrej tuszy, o twarzy czerwonej, na której nos jak ogórek wystawał naprzód. A był ten nos dziwnie ruchomy, bo zwracał się w tę lub ową stronę za każdym mocniejszym poruszeniem jego właściciela. Na sobie miał ten nowy gość granatową kapotę z peleryną, na głowie czapkę rogatą, po junacku na bakier zwieszoną.

— A to chwala Panu, — rzekł jeden z Kiskowian — że pan Bużański tu zawitał . . . pójdziemy razem.

— Ha! — odrzekł Bużański — pójdziemy mospanie razem, jeśli razem wyjdziemy.

Zaśmiano się na ten koncept, nawet arendarz wyszczerzył zęby.

— Co to jest, panie majstrze, — zawołano — jakoś zgryźliwi jesteście!

— At, co tam, zgryźliwy! — odparł Bużański — człek się nabiegał i jeszcze ma do Kiskowa blisko milę, ot i kwita, mospanie.

Rozmowa rozpoczęła się na dobre, w której jednak pan Bużański, mistrz szewski z Kiskowa, a nasz znajomy podróżny, najwięcej rej wodził i ją ożywiał. Nie mógł

się nachwalić wspaniałości chrzcin u zięcia, i zaiste nie byłby dziś wracał, gdyby jutro nie było św. Jana i odpustu w kościele.

Wtem zegar zardzewiały w kącie zgrzytnął i kukawka wykukała . . . jedenaście.

— Czas, można powiedzieć, w drogę, — zawołał słabowito wyglądający obywatel z Kiszkowa, wtrącając swe ulubione przysłowie: „można powiedzieć.“

— A to czemu, mospanie? — zapytał zdziwiony Bużański.

— Bo że to dziś Wigilia, można powiedzieć, świętego Jana — zauważył obywatel.

— Aha, rozumiem, mospanie — zaśmiał się Bużański — acanowi panu Maciejowi przychodzi na myśl czarownice i biesy. Ha! ha! ha!

— A proszę, można powiedzieć, nie drwinkować! — ofuknął pan Maciej. — Jestem sobie poczciwym mistrzem krawieckim, Boga chwałę jak umiem, a czarownic, ani, można powiedzieć, złego ducha się nie boję, bo mam na nich broń niechybną.

— A jakąż to, mospanie? — zapytał.

— A oto — zawołał pan Maciej, i powstał.

Wszyscy zwrócili na niego oczy, on zaś złożywszy ręce do modlitwy, zaczął się żegnać:

— W Imię Ojca i Syna, można powiedzieć, i Ducha świętego. Amen.

Po tych słowach usiadł, przytomni spuścili głowy, które w czasie żegnania mieli odkryte, a arendarza lechtało coś w nosie, po kilka razy kichnął. Zmiarkowali może znaczenie tego kichania, bo spochmurnieli, ale wnet wypogodzili czoła.

— A aści, mospanie, co myślisz?

Pytanie to zwrócił Bużalski do dorosłego młodzieńca w szaraczkowej sukmanie. Był on starszym czeladnikiem u mistrza krawieckiego pana Macieja.

Zagadniony młodzieniec nie umiał na razie dać odpowiedzi, co widocznie pana Bużalskiego tak ucieszyło, że nowe kazał dać poczęstne. Obajjednak Kiskowianie odmówili.

— Panie, można powiedzieć, Bużalski, — wyrzekł Maciej — trzeba nam być o północy w domu. Już to tak bywało, niech i będzie, można powiedzieć, dalej.

— To prawda — potwierdził czeladnik.

— A . . . a . . . a . . . — odezwał się Bużalski, zwróciwszy się od czeladnika — zapewne mospanie Michale nie będziesz mnie starszego chciał pouczać, he? . . .

— O bynajmniej, bynajmniej, — zaprzeczył Michał, bojąc się urazić mistrza szewskiego.

— Ale, można powiedzieć, idźmy, — odezwał się znowu pan Maciej.

— At mospanie, — zaszydził Bużalski — czy tam można powiedzieć, czy nie można powiedzieć, mnie to nie obchodzi. Tu mi dobrze i na tem koniec.

Wyszydzenie ulubionego przysłowia uraziło pana Macieja niemało. Powstał, poprawił odzieży, poszukał kija, toż samo i czeladnik, i stanęli przed Bużalskim gotowi do podróży.

— Więc, „mospanie,“ — zawołał pan Maciej, kładąc przycisk na przysłowie Bużalskiego, — można powiedzieć „mos — pa — nie“, nie idziesz z nami.

— Nie.

— To pójdziem sami.

— A idźcie i na łysą górę, — zaszydził Bużalski — niech wam tam bies, mospanie, łby poukręca, co mi tam do tego. Zresztą was dogonię.

W samej rzeczy pan Maciej z Michałem zabrali się do odejścia, lecz jeszcze w końcu chciał pan Maciej swego przeciwnika uszczypnąć.

— Ha! można powiedzieć, mospanie, — zawołał — wiem dlaczego nie chcecie iść z nami razem, zapewne chcecie dziś szukać kwiatu paproci.

Bużalski twarz odął i oczyma strzelił na mówiącego z podelba.

— Oto mospanie, teraz wcale z wami nie pójdę, — zawołał uderzając pięścią w stół — ani was ratować nie będę, choćby wam świętojańskie biesy siedziały na karku.

Pan Maciej nie czekając dłużej, odszedł z czeladnikiem, a niebawem i drudzy goście, tak, że pan Bużalski czując, iż mu głowa cięży, i widząc, że izba w koło tańczy; sam uznał potrzebę wyjścia na świeże powietrze i śpieszyć do domu. Nie był on wcale zabobonnym, co na owe czasy było rzadkością, jednakże poprzednia rozmowa, pora nocna, Wigilia św. Jana, to wszystko i na niego wywarło niejakiś wrazenie.

Na dworze wyglądało teraz już inaczej jak przedtem. Niebo było jakoś zamglone, mniejsze gwiazdy znikły, a większe dawały tylko mały blask. Droga stała się też panu Bużalskiemu niezwykajnie ciasną. Tędy przecież trzy wozy wyminąć się mogły, a teraz pan Bużalski idąc środkiem uderzał to prawem, to lewem ramieniem o drzewo. Zły był też na to jak osa, i każde drzewo, które mu w drodze stawało, kijem poczęstował.

Tak idąc, doszedł wreszcie do wsi Rybienko, poza którą już zaraz stała szubienica, cmentarz i miasteczko.

Pan Bużalski przeszedł wieś, ale za wsią dziwnie mu się w głowie kręcić poczęło. Jakieś mary przesuwały się, a widno mu było w oczach, jak we dnie, chociaż nic nie widział prócz mar i ciemno jeszcze w jego wzroku rysujących się drzew nade drogą.

Naraz w oczach mocniej zabłysło, potem grzmot długi, przeciągły zatrzęsł powietrzem.

— A Słowo, mospanie, stało się Ciałem,
— wyjęknął pan Bużalski, i przytulił się do drzewa, bo nie wiedział teraz czy idzie ku Kiskowu, czy się napowrót wraca. Grzmot coraz rośnie, nawałnica się zbliża, deszcz lunął. Wtem z ratuszowej wieży bije raz... dwa... dwunasta, nagle błysk... huk... piorun tuż, tuż gdzieś uderzył.

— Jezus, Marya, Józef, mospanie!... już po mnie!

Po tych słowach padł w rów i stracił przytomność.

Pan Maciej z panem Michałem szli spokojnie aż pod Rybienko; tu usiedli sobie na darni, bo chcieli czekać za współobywatelem Bużalskim. Na nieszczęście zasnęli, i pan Bużalski minął ich. Dopiero kiedy deszcz lunął, kiedy błyskawica ich olśniła a grom przeraził, zerwali się na równe nogi, pobiegli do wsi, szukając pod ścianą

ochrony tak od wichru, który się nagle zerwał, jak od ulewy.

Stali tak czas niejaki w milczeniu.

— Można powiedzieć, — odezwał się pan Maciej — żeśmy zgrzeszyli, a to kara Boska. Czemuśmy tak długo ławy u żyda wycierali? Ale żeby to nie ten Bużalski, to można powiedzieć...

— Bylibyśmy w domu — przerwał Michał. — Ale gdzież on teraz może się obracać?

— Obracać? — odparł pan Maciej, — nigdzie się nie obraca, tylko, można powiedzieć, nocuje u żyda... — dodał z pewnem oburzeniem.

Michał potrząsnął głową.

— W to nie wierzę, — rzekł — żeby pan Bużalski pod arendarza bebeczy głowę włożył. Prędzej wierzę, że usiadł pod drzewem i czeka aż burza przeciągnie, tak jak i my.

— Może tak, może nie, — odezwał się po chwili milczenia pan Maciej — niech tam sobie pan Bużalski, można powiedzieć, śpi, byle tylko burza wnet przeminęła.

Długo też czekać nie potrzebowali. Burza wkrótce ustąpiła i choć była krótką, ale w skutkach straszliwą. Kilkanaście piorunów uderzyło w pobliżu, a w stronie Kłęcka ujrzano dwa słupy ogniste, znak, że tam wybuchły pożary. Wicher zrywał z chat

słomiane dachy i unosił je ze sobą, a drzewa gięły się, że aż czubkami dotykały ziemi.

Ale wszystko przeminęło, niebo się wyjaśniło i pan Maciej z Michałem radośnie podążali ku domowi. Po lewej stronie mieli jezioro, a za jeziorem trzęsawiska i bagna nieprzystępne. Po prawej zaś lasy sosnowe.

Już mijali trzęsawisko, gdy naraz obaj przystanęli i nadstawili uszu.

— Co to było? — zapytał Michał.

— Nie wiem, — odpowiedział krótko Maciej.

— Zdaje się, że ktoś woła ratunku.

— Aleć to można powiedzieć z trzęsawiska — zauważył Maciej.

— Słusznie, na równej drodze nikt o ratunek wołać nie będzie — odparł Michał.

Pan Maciej chciał odpowiedzieć, gdy wtem — ratuj, kto w Boga wierzy! — rozległo się echem po trzęsawisku.

Nasi mieszczanie na ten głos struchleli.

— Jezus, Marya, Józef! — krzyknął Michał, — to głos ludzki.

— I mnie tak się zdaje.

— Nieśmy nieszczęśliwemu ratunek, bo zginie.

— Ale można powiedzieć, że nie wiem jak — zauważył Maciej. — We dnie ludzka noga nie odważy się na trzęsawiska, a cóż

dopiero w nocy, zwłaszcza, że po ulewie wody przybrały.

Michał uznał słuszość tej uwagi, i stał bezradny z założonemi na krzyż rękoma. Tymczasem wołania o ratunek coraz stawały się natarczywsze.

Wreszcie Maciej mruknąwszy kilka razy: można powiedzieć, obmyślił środek ratunku.

— Waści — rzekł — pobiegniesz natychmiast do Kiskowa zbudzić obywateli, niech się wybiorą z bosakami i dragami a ja wrócę się do Rybienka, aby zbudzić rybaków. Czołnem może łatwiej i bliżej dotrzemy.

Michał nie słuchał więcej, tylko w łot puścił się ku Kiskowu, a Maciej ku Rybienku. Właściwie zamierzał on w pierwszej chwili tę straszliwą wiadomość zanieść do miasta, by zyskać sobie imię odważnego człowieka; lecz na nieszczęście musiałby był przechodzić koło szubienicy i cmentarza, gdzie wczoraj pochowano dobrego jego znajomego. Wolał zatem ustąpić sławy Michałowi, a sam derdą kopnął się ku Rybienku, przenosząc bezpieczeństwo ponad wszystkie inne względy.

Michał tymczasem zapomniawszy o cmentarzu i szubienicy, pędem wpadł do miasta i narobił gwałtu, wołając, że ktoś topi się na trzęsawiskach.

Niebezpieczeństwo dodało większej jeszcze mocy głosowi jego. Wnet też znalazło się kilkunastu obywateli, którzy dowiedziawszy się o co chodzi, zaalarmowali innych, i zaopatrzywszy się w przybory do ratowania, pędem zbiegli z górki koło kościoła.

Maciej tymczasem pobudził rybaków: i ci też niebawem byli gotowi do pomocy. Wzięto w łodzie bosak i kilka długich desek. Rybacy wskoczyli w łodzie.

— A wy, panie Macieju, nie pojedziecie z nami? — zapytano.

— Radbym... można powiedzieć... — jękał się nieborak — ale to... muszę poczekać za pomocą z Kiszkowa, aby ich, można powiedzieć, objaśnić.

Rybacy się rozśmiali i odpłynęli.

A już też zorza poranna dozwalała widzieć, co się opodal dzieje. Rozkołysane fale jeziora nie ułożyły się dotąd do spoczynku, gdyż wiatr jeszcze zupełnie nie ustał, drzewa szumiały, przeraźliwy wrzask topielca na trzęsawiskach — to wszystko nawet na rybakach głębokie robiło wrażenie. Pan Maciej za nic w świecie nie byłby się puścił łódką na jezioro, i to w nocy, a do tego jeszcze po topielca.

Odmawiając pacierze, gonił okiem za

rybakami, wtem słyszy hałas od strony miasta.

— To mieszczanie — zawołał uradowany, zerwał się z burty nade drogę i pobiegł naprzeciw.

— A witajcież, panowie, — zawołał z daleka — można powiedzieć, topi się.

— Kto się topi? — pytano.

— Ano człowiek, bo po ludzku woła — odparł Maciej. — Ale co za człowiek, nie wiem.

Nie badano więcej, tylko nadśluchiwano, by się można za głosem kierować.

— Nic my tu nie poradzimy, — rzekł jeden z obywateli, ani do połowy się nie dostaniemy, a już byłoby po nas. Jedynie rybacy...

— A to czemu nie? — wrzasnął inny, uchodzący w mieście za wielkiego śmiałka — ot gdy nikt nie chce, ja sam pójdę. Podajcie mi bosaka.

Podano mu żądane narzędzie, ale zanim dał dziesiąty krok, wpadł pod szyję w błoto.

— Jezus, Marya! — krzyknął — ratujcie!

— Masz-ci — rzecze na to pan Maciej z udaniem ubolewaniem — teraz mamy nie jednego, ale, można powiedzieć, dwóch topielców.

Nie było czasu odpowiadać na tę uwagę, gdyż śmiałek grzął coraz głębiej. Usiło-

wał on z wszystkiej mocy wydostać się na bosak w poprzek położony. Ale to nic nie pomagało, bo i jego i bosak jakaś niewidzialna siła ciągnęła gdzieś w przepaść.

— Chwyć się drąga — wołano — wyciągniemy cię.

Nieszczęśliwy śmiałek pochwycił za podany sobie drąg i niezadługo znalazł się na suchem miejscu. Twarz była trupio blada z przestachu, ubiór zbłocony. Wyglądał tak strasznie, że aż pan Maciej cofnął się o kilka kroków.

— A co? — zapytał pierwszy obywatel — chciałoby się waści jeszcze raz?

— Dajcie pokój, panie Kosmowski, już dosyć kary za to, że chciałem być mędrszym od starszych.

Ujęło to za serce mieszczan.

— No, no, Bartłomieju, — mówili — tak źle nie myśleliśmy.

— Tak źle, można powiedzieć, nie myśleliśmy, — potwierdził Maciej — ale to pielec, topielec!...

— Według tego, jak mnie głos jego dochodził, musi być tuż nad samem jeziorem, — rzekł jeden z mieszczan — to mu tam rybacy dadzą radę. My zaś nie możemy, chybabyśmy most na prędce zbudowali.

— Można powiedzieć, że to prawda, — potwierdził Maciej — więc pójdźmy nad jezioro, gdzie rybacy przybiją do brzegu.

W samej rzeczy nic innego na razie przedsięwziąć nie było można. Rzucono się tedy w kierunku nad jezioro i w gorączkowym usposobieniu oczekiwano skutku wyprawy rybaków, zachęcając ich do pośpiechu.

Coraz więcej dniało. Już widać wszystko jak na dłoni, ale nie widać ani rybaków, ani topielca; rybacy wjechali w gęstą trzcinę, poza którą bez wątpienia topielec się znajdował.

Rybacy płynąc za głosem dotarli aż do brzegu, gdzie się zaczynało trzęsawisko zarośnięte trzciną, sitowiem, rogożem i innemi wodnemi roślinami. Tu dno było podwójne: z wierzchu woda, potem pokład torfiastej ziemi, dającej życie porostom, a pod niem znowu drugie dno, na które jezioro wlewało swe wody.

Skoro rybacy przepchnęli się przez zarośla, ujrzeli na kilka kroków przed sobą głowę ludzką z rozczochranymi włosami, na której pełno było odłamków trzciny, błota, trawy. Że jednak w tej głowie było życie, dowodziło ustawiczne wołanie o pomoc, które teraz widocznie słabł.

— W sam czas przybywamy, — odezwał

się jeden z rybaków — gdyby się był do-
czołgał do sitowia, przepadłby na zawsze.

— Ale przecież onby się tu już przy-
czołgać nie zdołał, — odrzekł inny — patrz-
cie, po uszy tkwi w błocie i grzęźnie coraz
głębiej. Niedługo znikłby z powierzchni
i dopiero na sądzie ostatecznym dowiedzie-
libyśmy się, kto to był i gdzie się podział.

Tymczasem szybko rzucili deski na
trzęsawisko, tworząc z nich most, a potem
dwu z nich ostrożnie udało się do topielca.
Deski wgięły się z ciężarem w trzęsawisko,
aż woda rybakom do pasa sięgała, lecz nie
zważając na to, zbliżyli się do nieszczęśli-
wego, ujęli go silnie za barki i przynieśli
do łodzi. Nie można było poznać, kto był,
zresztą na to czasu nie stało, więc rybacy
wypłynęli znowu na jezioro i wiewaniem
czapek dali znać, że im się powiodło.

Słońce już weszło na dobre, chyżo po-
suwając się w górę, oświecając swym bla-
skiem krajobraz i całą tę scenę. Ptastwo
po lesie śpiewało, nury rżały na jeziorze,
w trzcinie uganiały się wodne kurki i trzci-
niaki, głos derkacza dochodził gdzieś z da-
leka. Wszystko odżyło i pełniejszą ode-
tchnęło pierśią.

Zgromadzeni nad jeziorem mieszczanie
i rybacy, którzy przybili już do brzegu, nie

zważali jednakże na piękność natury. Ciekawość rozgorączkowała wszystkich do najwyższego stopnia, chcieliby co prędzej dowiedzieć się o wszystkim, tymczasem topielec wyniesiony na murawę, nie dawał znaku życia. Z trwogą jakąś dziwną spoglądano na nieszczęśliwego.

— Można powiedzieć, że zgroza! — wyjąkał pan Maciej z ubolewaniem — gdybym nie ja... no, już byłoby, można powiedzieć, po nim.

— At tam się nie chwalcie, panie majstrze, — przyciął mu Kosmowski — bo i Michał swoje zrobił rzetelnie.

— Ale ja rybaków, można...

Przerwano Maciejowi dalsze słowa, twierdząc, że nie teraz czas po temu. Ścisnęli się więc jeszcze mocniej koło topielca i z drżeniem oczekiwano chwili, gdy oczy otworzy.

Strasznie ten człowiek wyglądał. Włosy pełne błota i trzciny, twarz cała zabłocona, że nosa nie znać. Odzienia jego nie można było rozeznąć, a buty pozostały w błocie na wieczne czasy.

— Trzeba biedaka obmyć! — zawołał Kosmowski — przecież to wygląda jak nieboskie stworzenie.

— A prawda, — potwierdzono, i zaraz

zabrano się do tego. Jeden z rybaków ujął topielca w pas, zwrócił twarzą ku wodzie, drugi zaczął obmywać twarz, jak się dało. Potem położono nieszczęśliwego znowu wznak na ziemi. Spojrzeli wszyscy ciekawie na twarz i okrzyk zgrozy wydobył się im z piersi:

— Bużański!...

Okrzyk był długi, przeciągły, a tak może obmycie twarzy, jak i wzruszenie od okrzyku wróciło Bużańskiemu życie. Otworzył oczy; spojrzał przed siebie, zamknął je i znowu zaczął wołać:

— Ratuj, kto w Boga wierzy!

Kosmowski przyskoczył do niego.

— Panie majstrze, — zawołał — upamiętajcie się, przecież już jesteście wyratowani.

— Jesteście, można powiedzieć, wyratowani, — potwierdził gadatliwy pan Maciej — i to można powiedzieć, że tylko ja...

— Podnieście się, panie majstrze, — rzekł znowu Kosmowski, i posadził Bużańskiego.

Ale ten był za słabym. Twarz miał wyłękłą, oczy mdłe, szeroko rozwarte, a cały był zimny jak lód. Oczywiście przestrach, włóczenie się po trzęsawisku, zimno dotkliwe, ubezwładniały jego członki. Wreszcie Bużański opamiętał się nieco, spojrzał dokoła zdziwiony, ale sam sobie nie wierząc, czy marzy, czy

na jawie, zamknął powieki. Zadrgnął potem kurczowo i chciał się zerwać z ziemi, ale bezwładny opadł napowrót. Widocznie nie mógł przyjść jeszcze do przytomności i zgromadzonych uważał za widziadła.

Zaczęto więc teraz perswadować Bużałskiemu, gdzie jest i co się z nim stało. Na to zdawał się przychodzić do przytomności, bo już spokojniej powiódł okiem po zgromadzonych, podał zimną jak lód rękę kłęczącemu obok niego Kosmowskiemu, i znowu usiłował przynajmniej usiąść.

— Nie silcie się, panie majstrze, — zawołano — zaniesem was do domu.

— Ale jakim sposobem, — odezwał się ciekawo Maciej — dostaliście się, można powiedzieć, na trzęsawiska?

— Ażeby wam się język złamał! — ofuknął Kosmowski.

Bużałski też na to nic nie odpowiedział, tylko szepnął z cicha:

— Zanieście mnie... do domu... a potem... po księdza!...

W momencie ustawiły się cztery pary w rząd, trzymając się za ręce, na które, jak na żywe nosze złożono nieboraka.

Zwolna, w milczeniu, zbliżył się orszak do miasta, gdzie na niego o wiele jeszcze większy oczekiwał tłum ludzi rozmaitego

wieku i płci. I ci potruchleli, dowiedziawszy się naprędce od Macieja, kto to jest i co mu się stało, czyniąc rozmaite domysły i wnioski, a tymczasem Michał pobiegł na plebania.

Nie wyszło kilka pacierzy, drzwi od kościoła otwarły się i kapłan z Przenajśw. Sakramentem wyszedł, kierując swe kroki do chorego. Lud kornie ukląkł na kolana, powitał Zbawiciela, a potem kapłan wszedł do mieszkania Bużańskiego.

Spowiedź trwała długo, długo, zapewne z całego życia, aż się ludziom na dworze stać przykrzyło. Wielu poodchodziło do domów, insi pozostali aż do udzielenia Komunii.

Kiedy ksiądz wyszedł, hurmem rzucono się do drzwi, aby się czegoś dowiedzieć, ale drzwi były... zamknięte i na żadne prośby nie odpowiadano ze wnętrza. Więc nie dowiedziawszy się niczego, musieli się rozejść do domów.

II.

Mają swoje dzieje wielkie miasta, ale mają je też i małe miasteczka, nawet wioski. Wprawdzie historia małych miasteczek nie wypadłaby tak świetnie, jak historia miast stołecznych, gdzie przy boku królewskim uwija się świta, kapiąca od

złota. Rozmaite zmiany i przemiany w urządzeniach stolicy, w jej upiększeniu, wreszcie w czasie wojennym jej uciski, lub świetna obrona, to materiały dla historyków. O małych zaś miasteczkach nikt nie wspomni, bo nacóż? Że tam Szwed spalił jakie miasteczko, to nie warte wspomnienia, lecz gdyby zbombardował jedną kamienicę w Warszawie, jużby to było w księgach zapisane.

Zupełnie tak samo jak z ludźmi. O bogaczach wiele mowy, chociaż czyny ich na to nie zupełnie zasługują — o biednym nikt nie wspomni. Kto bogatym, ten oraz jest i mądrym, uczonym, a tymczasem mądry, uczony, ale biedny, żyje w nędzy, chociażby się społeczeństwu stokroć więcej przysłużył, aniżeli bogacz.

Pomiędzy miasteczkami Wielkopolski bez wątpienia jednym z najstarszych jest Kiszkowo. Położone 4 mile od Gniezna, 2 mile od Pobiedzisk i 2 mile od Kłecka, stoi na miejscu, kędy się dawniej krzyżowały trakty handlowe z Poznania przez Bydgoszcz do Gdańska i od Kalisza do wybrzeża morza Bałtyckiego, i odwrotnie. Z tego powodu miasteczko owo zwało się w połowie XIV wieku Krzyżkowo.

Było ono prywatną własnością królów z rodu Piastów. Kazimierz Wielki pierwszy

dopiero zwrócił uwagę na to miasteczko. Nie było ono wteczas bynajmniej małym, lecz owszem handlowem, miało fabryki sukna, rzemieślników innych znaczną ilość, i dobrobyt kwitnął. Ulubił sobie Kazimierz to miejsce dla mnóstwa grubego zwierz, i tu też częste odbywał polowania, pozostawiając po sobie pamiątki przez zakładanie wsi. W pobliżu miasteczka napadł na samotnie jadącego króla w czasie polowania żubr czyli tur, i król z wielkiem niebezpieczeństwem życia ledwie zdołał pokonać rozbestwione zwierzę. Na tem miejscu założył wieś Turostowo. Także Niedźwiady, Sroczyn, Gniewkowo jest jego dziełem.

Król Kazimierz miał na dworze swym ulubieńca, nazwiskiem Kiszka, któremu miasto to podarował, a odtąd już się zaczęło nazywać Kiskowo, i pod tem nazwiskiem istniało aż do roku 1876, w którym gorączkowe przeinaczanie nazwisk miejscowości ogornęło także miejscowych radnych, którzy wraz z ławnikami, z burmistrzem na czele pomiędzy nimi dwóch tylko Polaków, ochrzcili Kiskowo na najśmieszniejsze Welnau.

Za czasów Kazimierza rycerstwo polskie miało wielkie prawa i przywileje, podczas gdy miasta i stan kmiecy mało miały swobód.

Król umyślił zrównoważyć potęgę rycerstwa, więc miastom ponadawał przywileje, podnoszące wysoko ich znaczenie. Następni królowie coraz większe nadawali im przywileje, a tak z czasem miasta stanowiły same dla siebie osobne państewka, rządzące się na nieszczęście jeszcze prawem magdeburskiem. Kiszkowo pomiędzy innymi przywilejami miało prawo miecza, i przeciw wyrokom rajców miejskich apelacyi nie było, chyba w formie prośby do króla.

W czasie, kiedy się toczy nasza powieść, miasteczko znacznie podupadło. W roku bowiem 1708 wybuchła straszna cholera i wyludniła całe miasto. Kroniki miejskie twierdzą, że pozostał tylko miejscowy ksiądz i czterech ludzi. Zapewne wszyscy nie pomarli, ale przed cholera puchodzili w inne strony, jednakże całe ulice pozostały puste, i trzeba było sprowadzić nowych osadników.

Sypnęli się Brandenburczycy, których osiedlono na gruntach i w domach po wymarłych. Miasteczko się podźwignęło, ale cecha jego polska poczęło się powoli zacierać.

Miasteczko samo położone jest na pagórku i zbudowane w podłużny czworobok. Na rynku wznosił się wielki ratusz z wieżą i zegarem, a pod całym rynkiem pełno było sklepów i ganków, gdzie znajdowały się

więzienia dla wielkich zbrodniarzy, pomieszczenia dla tortur i miejsce, gdzie męczono nieszczęśliwych. Teraz już tam ratusza nie ma, a na tem miejscu stoi szopa do sikawki.

Od ratusza na wschód stał i stoi również na pagórku kościół pod wezwaniem św. Jana. Starożytny ten przybytek Pański, całkiem drewniany, o dwóch zrębach, z wysoką wieżą, widny już z daleka, robi prawdziwie wrażenie świątyni Pańskiej. Był on swego czasu bogatym, lecz po upadku miasta i zrabowaniu kościoła przez Szwedów bardzo goło w nim wyglądało. Dopiero w roku 1885 zajęto się restauracją i upiększeniem świątyni.

Od kościoła droga spada tuż obok plebanii stromo na dół, i tworzy ową krzyżówkę, od której pochodziła początkowa nazwa miasta. Gdy się teraz stanęło na rozdrożu twarzą ku wschodowi, to jest ku Gnieznu, znajdowała się po prawej ręce droga kaliska przez Pobiedziska, w tyle poznańska, a w lewo trakt ku Kłecku.

Zwróćmy się na lewo.

Trakty ówczesne nie były to bite drogi podobne do naszych, ale szerokie ścieżki, po części wycięte po lasach, a do tego kręte, obliczone nie dla dobra ogółu, ale dla wygody kupców, handlarzy — były to więc

drogi prywatne. Handlarz ówczesny nie postępował sam, ale z całą karawaną rozmaitych innych handlarzy. Towary swe nie tylko, że wieźli na miejsce przeznaczenia, lecz jeszcze po miasteczkach robili interesa, bądź to przez zamianę towarów na towary, bądź za gotówkę a nawet przyjmowali obstalunki, które swym odbiorcom z dalekich stron sprowadzali.

Od Kiszkowa w lewo nad traktem ciągnęły się lasy. Na prawo tuż pod miastem znajdował się cmentarz, a obok niego drugi kościółek św. Trójcy. Na lewo znowu nieco dalej, stała groźna... szubienica, w małym do dziś istniejącem zaklęśnieniu, jako dowód potęgi rady miejskiej i na postrach przestępcom. Dalej na prawo za cmentarzem i kaplicą rozległe łąki kończące się owem wspomnianem już trzęsawiskiem. To trzęsawisko było postrachem dla mieszczan, bo niejedno bydło, gdy się za daleko zapuściło, ginęło bezpowrotnie. Człowiek żaden tam nie powstał, bo śmierć zagrażała niechybna, i ów wielki obszar nawodnych kęp, rozpadlin łąk, był jedynie siedzibą wodnego ptactwa, które tu znajdowało bezpieczne schronienie, bo ani nawet lis nie odważył się na widoczne niebezpieczeństwo. Obszar ten zimą przynosił pożytek. Kiedy lody

pokryły jezioro i trzęsawisko, wtedy udawano się po trzcinę i siano, ale i to bardzo ostrożnie, gdyż w najcieńsze mrozy znajdowało się mnóstwo widocznych i ukrytych odparzelisk. Na samym tylko środku znajdowała się kępa, wśród której wystrzelała olbrzymia, rosochata wierzba. Jakim sposobem się ona tu dostała, tego nikt nie wiedział. Na górze za trzęsawiskiem znajdowała się osada zwana Żdźarówita, a stąd też i trzęsawisko nieraz nazywano po polsku żdźarami.

Trzęsawisko nie miało też dobrej sławy u wszystkich. Nie mówiono tego głośno, ale twierdzono, że tam biesy na owej wierzbie z czarownicami wyprawiają figle. Stąd każdy tamtędy nocą przechodzący żegnał się mimowolnie. A widywano nawet dziwne rzeczy. Tedy i owedy widziano skaczące płomyki, inni twierdzili uparcie, że słyszeli beczenie kozła, a inni nawet słyszeli w powietrzu szum nadciągających potępieńców. Rozsiane po cmentarzu krzyże, nagrobki, szubienica i trzęsawisko zaiste nie mogły na samotnego wędrowca oddziaływać inaczej, jak że mu zaraz na myśl przychodziły widma i strachy.

Przez to trzęsawisko, nie dotykając jeziora, przechodzi rzeczka, dziś zwana małą

Wełną, naonczas Srulą. Otacza ona półkołem miasteczko i płynie dalej ku Skokom i pod Rogoźnem łączy się z wielką Wełną. Rzeczka ta na pozór mała, często występowała z brzegów. Latem tworzyła tu i owdzie rowki małe, na wiosnę prąd był silny, a ryk wody rozlegał się daleko. Wypływa ona z jeziora kłęckiego.

Idąc wzdłuż jeziora mającego postać mniej więcej podłużną, przybywało się do osady rybackiej, z kilku chat trzciniowych złożonej, zwanej Rybienko, dla odróżnienia od Rybna, znajdującego się na lewo nieco dalej nad drugim jeziorem. Poza Rybieniem na prawo były lasy rzadsze, tam znajdowały się już osady Łagiewniki z kościołem, Gorzuchowo nad jeziorem kłęckiem, dalej wieś rycerska Zakrzewo, Sławno i inne. Pomiedzy Gorzuchowem, Żdżarowitą a Łagiewnikami było miejsce zupełnie z drzewa ogołocone.

Wróćmy znowu do miasta.

Czworoboczny rynek nie był zanadto obszernym, gdyż gmach ratuszowy zajmował wiele miejsca. Naonczas miasto było ludne. Samych fabryk sukiennych było do stu, a prócz tego wszelkie inne rzemiosła miały swych przedstawicieli. Przywileje miało wielkie, większe od Gniezna i Pobie-

dzisk, bo miało własne sądy, przeciw którym żadna apelacya nie służyła, czego Gniezno i Pobiedziska nie miały. Stąd też magistrat już na zewnątrz szumnym i okazałym ratuszem wskazywał na wielkość swej potęgi.

Z rynku wychodziły cztery ulice, równoległe ze sobą. Pierwsze tworzył trakt od Poznania koło karczmy Wygody przez miasto obok kościoła ku Gnieznu, drugie dwie same dla siebie, jedna dotykała traktu kaliskiego, inna gubiła się w zaułkach. Ponad traktem ku Pobiedziskom ciągnęły się zabudowania obywateli, trudniących się głównie uprawą roli, aż do samej rzeki, która w tem miejscu była dawniej szeroka i była urzędowem miejscem do... pławienia czarownic.

W rynku na prawo od kościoła zaraz pierwszy dom należał do znanego nam mistrza szewskiego, pana Bużańskiego, jak on się sam nazywał i kazał nazywać, bo w potocznej mowie poza jego oczyma mówiono krótko Bużała. Wiedział o tem szanowny mistrz i zżymał się na to niemało, ale na słowie nikogo mu się pochwycić nie udało. Dom stał po staropolsku szczytem do rynku, a dalsze budynki w tyle. Wchodziło się zaraz ze sieni na lewo, gdzie się znajdowała

wielka izba, zaopatrzona w stosowne meble i służyła za pokój, w którym pan mistrz dostojniejszych przyjmował i podejmował gości. Wprost naprzeciw okna szły drzwi do warsztatu, a potem z warsztatu inne do drugiej sieni, z której był wchód do kuchni, gdzie się znajdowały jadalnia i sypialnia.*)

Całą rodzinę jego składała żona Agnieszka i córka Barbara. Pani Bużalska już przeszła połowę życia, ale mimo tego wyglądała zupełnie świeżo. Pracowita, zaradna, cicha, pobożna, zyskała nie tylko miłość męża, ale i szacunek u innych mieszczanek. Wprawdzie starano się dopatrzeć czego, aby jej można łatkę przypiąć, ale ta, nie spodziewając się nawet zasadzki, w niczem do plotek nie dała powodu.

Ozdobą i życiem domu była nadobna Barbara. Było to dziewczę do dwudziestu lat liczące, z rysów podobne matce, tylko delikatniejsze, żywsze, pulchniejsze. Twarzą jej rumiana rzadko kiedy się zachmurzyła, więcej bowiem igrał na jej różanych usteczkach uśmiech szczęścia i swobody. Kiedy się w Niedzielę wybrała do kościoła i głowę przystroiła w jedwabną chustkę, pozwalającą widzieć połyskujące

*) Dom ten dotąd jeszcze stoi.

włosy uczesane gładko i splecione w jeden warkocz, spadający aż na plecy; gdy wysmukłą, giętką kibić przyozdobiła w połyskujący kabacik sznurowany, a szyję ozdobila prawdziwymi koralami na cztery rzędy, można nie tylko było podziwiać urodę dziewczyny, ale zauważyć także zamożność domu.

Nie mylono się co do ostatniego. Bużański lubił sobie pozwolić, ale to nie zawsze i prócz tego pracą i oszczędnością umiał wydatek wynagrodzić. Nie szczędząc sobie ani rodzinie, że był dobrym i rzetelnym rzemieślnikiem, wnet jedną po drugiej pończochę z talarami schował dla córki na posag. Prócz rzemiosła i domu miał jeszcze obszerne ogrody, prześliczny sad owocowy i kawał łąki. Był zatem jednym z najzamożniejszych obywateli, a jedynaczka Baśka spadkobierczynią wszystkiego.

Jak i teraz, tak i dawniej majątek przy ożenku grał rolę niepoślednią. Dziś wprawdzie gorzej, bo gdyby wówczas dla majątku wziął sobie młodzieniec starą babę na kark, stałby się pośmiewiskiem miasta. Były także, prawda, małżeństwa wiekiem nieodpowiednie, ale to rzadkością.

Basia miała zalotników całe mnóstwo, gdyż kawalerów ciągnął nie tylko majątek, ale i piękny buziaczek dziewczyny. Ta je-

dnakże dotąd niczem się nie zdradziła, aby komu z nich miała więcej sprzyjać, aniżeli przyzwoitość nakazywała. Była z nimi wesołą, szczerbiotliwą, a kiedy odeszli, zapomniała. Cieszył się z tego powodu ojciec niezmiernie, gdyż wybór męża córce chciał sam załatwić. Już też jej napomykał o tym lub owym, ale córka się uśmiechnęła i powiedziawszy, że to ma czas, uciekała z izby, a mianowicie, kiedy jej wspominał o młodym wójcie ze Sławna.

Ale nie była ona tak niewinną, jak się o tem niedługo dowiemy.

Wprost przez rynek naprzeciw mieszkał obywatel Kosmowski, pono nawet ze szlachty pochodzący, chociaż się do niej nie przypisywał, kontentując się przywilejami wolnego obywatela miasta Kiskowa. O kilka domów dalej wprost na ratusz mieszkał pan Maciej.

Pomimo swych przywar był on jednakże pierwszorzędnym krawcem i zatrudniał cały tuzin czeladzi, tak, że Michał jako starszy, tylko przykrawaniem i odbieraniem mógł się trudnić. Pan Maciej miał także córkę Zosię na wydaniu, i nieaz myślał, że może po sobie zostawi warsztat Michałowi.

Michał, nazwiskiem Jerzykiewicz, pochodził z Gniezna także z porządnej rodziny

krawieckiej. Gniezno naonczas jednakże nie było tak handlowem i przemysłowem, jak Kiszkowo, przeto tutaj kształcił się dalej w swem rzemiośle, póki własnego na swą rękę nie założy, o czem już niejednokrotnie myślał. Na majątku mu nie brakło, a że był znanym z uczciwości i biegłości w swym zawodzie, przeto spodziewał się pomyślności na przyszłość.

Był to przystojny młodzian. Wysoki, o twarzy miłej, czarnym ozdobionej wąsem. Nosił się na święta zwykle po wielkopolsku, jak była moda w okolicy Poznania. Otwarta kapota z peleryną, dalej żupan, związany pasem wełnianym, spodnie szerokie, długie buty, a na głowie czworograniastą czapkę. Gdy do tego wziął jeszcze w rękę kij nabity w sęki świeczkami, ani nie byłoby się po nim można domyśleć krawca, chyba jakiego junaka, zawalidrogę. A tymczasem, chociaż Michał był odważnym gdy tego było potrzeba, był to sobie młodzieniec cichy, skromnych obyczajów, szczery i prawdziwie pobożny. Dziewczęta też kiszkowskie z boku nieraz nań spoglądały, lecz Michał dotąd ustępował im z drogi. Serce jego zdawało się być głuchem na przymilanie się krasnolitych dziewoi, a nadto zdawał się nie uważać na to, co tem więcej dziew-

częta drażniło i pobudzało do tajemnego gniewu.

Nad traktem poznańskim stały fabryki sukiennicze. Tam mieszkali pan Konopka z synem Bartłomiejem, pan Kasper Grząski i inni. Wszystko to obywatele słuszeni, przemysłowcy, czujący się pod opieką przywilejów miejskich. I z tego też powodu dumnie patrzył Kiskowski na mieszczan z okolicznych miast, gdyż ci tych przywilejów nie mieli.

Tak wyglądało miejsce i okolica, w której smutna część naszej powieści się odegra.

III.

W miasteczku dzisiaj ruch niezwykajny, boć to wielki odpust. Ludzie snują się to gromadnie, to pojedynczo, to bryczkami, to furami. Kościół ani połowy wiernych nie pomieści, ale i oni usłyszą słowo Boże i oni duchem przytomni są świętemu obrządkowi, wiedząc o tem, że kapłan modli się za nich.

W samym kościele tak nabitó, że i kijemby nie przepchnął. Ławki po lewej i prawej stronie wypełnione po większej części mieszczanami i mieszcankami, reszta stoi zbity w jedną masę, tylko ławki dla starszych przed ołtarzem jeczce próżne.

Ale i te wkrótce ujrzały swych gości. Przyjechali panowie z Rybna, z Turostowa, nawet i z innych okolicznych wsi. Jeszcze jedno zostawiono miejsce, zapewne dla jakiej uprzywilejowanej osoby.

Niezdługo i to zostało zajęte. Ode drzwi dał się słyszeć szmer, ludzie się rozstąpili, i jakiś mężczyzna szedł prosto na opróżnione miejsce.

Mężczyzna był mały, krępy, gruby i rudych włosów. Twarz jego w tej chwili ubrana w powagę, na pierwszy rzut oka zdradzała umysł niespokojny, bo chociaż nieruchoma, sztywna, to oczy wystające niby u raka, latały jak błyskawice na wszystkie strony.

Usiadł z powagą, skłonił się szlachcie, a potem zwrócił oczy na kościół.

Był to pan burmistrz.

Przed kościołem lud zbiera się w większe i mniejsze grona i coś szepce tajemniczo. O czem? łatwo zgadnąć... o przypadku Bużańskiego na trzęsawiskach. Nie tylko Kisz-kowiacy nie dotrzymali sekretu, ale i rybacy opowiedzieli sąsiadom, co w nocy zaszło, a z tego ludzie tworzyli sobie teraz najrozmaitsze wnioski.

Tuż koło dzwonnicy stało kilku z obcych parafii, a pomiędzy nimi mieszczanin kiesz-

kowski. Ten ustawicznie prawił, a często-
wał wkoło tabaką, by niejako kichaniem
zdanie jego potwierdzano. Z postaci, z wy-
bladłej twarzy można w nim było i na pół
mili poznać — krawca.

Przytomni już się dowiedzieli, że Bu-
żalski szedł sam, i że drwiąc z Wigilii świe-
tego Jana, dostał się na trzęsawiska. Ale
jakim sposobem?

Krawiec mrugnął oczyma i otworzył
tabakierkę.

— Szanowni, — rzekł — toć to jak na
dłoni. Bużalski jest zresztą poczciwy czło-
wiek, ale nie był powinien śmiać się z tego,
w co my wszyscy wierzymy. Więc, szano-
wni, Bóg go opuścił, i wpadł... Boże od-
puść wszystkie grzechy!... w ręce biesa.

— W Imię Ojca i Syna... — przeże-
gnano się na wspomnienie biesa — a panie
Niciński, któż tam na świętem miejscu bę-
dzie złego wspominał.

Krawiec już chciał coś odpowiedzieć,
gdy wtem jeden z gromady potężnie kichnął,
potem drugi, trzeci.

— A widzicie, szanowni, — rzekł urado-
wany Niciński — wszakże prawda, wszakże
na to kichnąć musieliście. Gdyby nie była
prawda...

— Hm! hm! — mruknął jakiś we wo-

łoszce mężczyzna o bladej twarzy — już to tam bez ale nie było, bo jakże pocziwy chrześcijanin mógłby zdrowo dostać się na topielisko, i to tam jeszcze...

— Gdzie to dzisiaj... może... niech nie powiem, — wtrącił zaraz krawiec — gdzie to dziś odbył się taniec...

— Brr! — otrząsł się mężczyzna we włoszce.

— Może być i może niebyć, — odparł inny wysoki, wąsaty — nikt z nas przy tem nie był i tak zaraz niczego twierdzić nie można. Bużański uczciwy chrześcijanin, do kościoła chodzi i do Sakramentów świętych przystępuje...

— Ale w biesa... Boże odpuść... nie wierzy! — przerwał mu krawiec.

— Jak jeszcze raz wspomnicie... tego tam... — zagroził mu człowiek w włoszce, — to sobie pójdę. Nie mam uszu na słuchanie takich imion.

I drudzy zganili.

— Bo to, szanowni, — tłumaczył się krawiec — przecież wymówić coś takiego nie jest grzechem, jeśli się nic złego przy tem nie myśli. Wszakże i ksiądz na ambonie mówi o czartach, czarach i czarownicach...

— At... co ksiądz, to ksiądz, — ode-

zwał się inny — co jemu wolno, to nie nam. On ma moc nad złym duchem, przeto go się nie boi. Co inszego...

— Nie inaczej się stało — zauważył teraz dotąd jeszcze milczący, widocznie wiejski gospodarz — oddał się złemu i złe go tam zaniósło.

— A widzicie, szanowni! — zawołał uradowany krawiec, że nie on potrzebował tak wprost rzucić to podejrzenie, i wyciągnął wskazujący palec ku zgromadzonym, a potem ściągawszy go do tabakiery, mówił dalej — ale co on tam robił?

— Zapewne pacierza nie mówił — wtrącił człowiek w wołoszce.

— Ani mu godzinki nie przyszły na myśl — zauważył inny.

— Tak na harc z czarownicami... brr! — odezwał się znowu ów małomówny, ale zaraz dobitnie się wyrażający.

— Brr! — dodali inni machinalnie, nie wiedząc sami czemu.

Wtem nagle odezwał się z tyłu głos:

— Acanowi, panie Niciński, lepiejby w spódnicy wyglądało, aniżeli w kirei. Człowiek tak słuszny i bawi się plotkami, zamiast iść na różaniec!

Przytomni spojrzeli w tę stronę. Był to Kosmowski, który widząc długojęzycznego

krawca w gronie obcych, domyślił się, że opowiada im świeżą nowinę. Podsunąwszy się tedy bliżej, wysłuchał przynajmniej końca.

Jakoś to zgromienie krawca owiało wszystkich chłodem. Ten i ów wstrząsnął głową, ale nie znalazł odpowiedzi. Tylko krawiec nie stracił fantazyi.

— A... szanowny... — rzekł, podając tabakierkę — ot tak człowiek gawędzi, ale w żadne plotki się nie wdaje, bo co prawda, to prawda. Gdyby tu był Bużański, toby...

— Toby acanowi zagrał laską na plecach! — zawołał Kosmowski odchodząc.

Krawiec się zaperzył.

— To nieładnie, szanowny — zawołał za odchodzącym — jam mistrz krawiecki, obywatel, nie wolno mnie ani w spódnice obłóczyć, ani kijem wygrażać. Cóż się to ma znaczyć?

Ale Kosmowski tego już nie słyszał. Dotychczasowi słuchacze po przemowie Kosmowskiego jakoś nie mieli ochoty o tem dalej gawędzić, więc się rozeszli, a tylko krawiec pozostał z małomównym. Obaj oparli się o dzwonnice, długo coś szeptali, kiwali głowami i rozkładali rękoma.

Ta sama wieść zajęła kobiety, ale to w sposób więcej języczny. Jak najpewniej

wiedziały już, że Bużalskiego złe wprowadziło na trzęsawiska.

— Widzicie, kumoszko, — rzekła do sąsiadki jakaś podstarzała, szpetna imość w czepcu i okryta pstrokatą chustką — Bóg mi świadkiem, że nie lubię o takich rzeczach mówić... Ale to obraza Boska.

— Jezus, Jezus! — lamentowała inna. — Gadano prawda, że tam na trzęsawisku... no wiecie... ale to jeno gadano, a teraz wiemy, że prawda.

— Toć tam jeno cioty z naszej okolicy być mogły — zauważyła inna — jak to się strzedz trzeba... a ksiądz mówi, żeby w cioty nie wierzyć!

Żeby jeno Bużalinę zobaczyć — odezwiała się jakaś mieszcza — to ona nam wyśpiewa, bo przecież Bużała jej coś powie.

— Ocho! — zawołała kobieta w czepcu i w chustce — tego się nie spodziewajcie, bo tego nie wolno mu nikomu powiedzieć, chyba księdzu na spowiedzi... Ależ to nie trudno wiedzieć, kto tam był. Ja to już wiem! — dodała chępliwie.

Kobiety usunęły się od niej na krok i spojrzały w oczy.

— Wiecie? — zapytano. — Jakże możecie wiedzieć?

— Czy i wy tam byliście? — zapytała mieszcza.

Na to oburzyła się kobieta w czepcu, i oczy jej zaiskrzyły się z gniewu, a zarazem z niezadowolenia ze siebie samej, że swą chępliwością podała się w podejrzenie. Milczała chwilę, ale kobiety widząc grę jej oczu, zakłopotanie, trąciły się nieznacznie na znak porozumienia i poczęły odchodzić.

— Kto śmie powiedzieć, że i ja tam byłam? — zawołała zaperzona. — Ta, co na mnie powiedziała, sama tam może była!... Ha!... Każdy mnie zna w mieście i okolicy i wie, com za jedna.

— A toć nie chciałam was obrazić — przepraszała mieszcza, która stawiała nie-szczęsne pytanie. — Wiemy wszystkie, że z was pobożna niewiasta...

— Pobożna niewiasta! — potwierdziła kobieta w czepcu — to prawda. Nikogom nie skrzywdziła, a kto chce porady, jeśli jaka kobieta w chorobie, do kogoż się udaje? oto do mnie, do Czarnej Maryny, jak wy mnie nazywacie.

— Wiemy, wiemy...

— Ot, pani kumolku, — rozpoczęła znowu swoje Maryna — gdyby to można na pewno wiedzieć, co tam były za jedne,

ustrzegłoby się niejednego od złego. Jać to tam miarkuję...

Wtem zagrzmiął głos dzwonu na „Wierzę w Boga“ i przerwał mowę nierozsądnej babie. Kobiety rade ze sposobności, co rychlej odbiegły od podejrzanej im już Maryny.

— Hej, pani Ziębowa! — zawołała Maryna za mieszczką. — Po nieszpórach przyjdę do was, to wam więcej opowiem.

— A nie... nie... nie potrzeba — wymawiała się Ziębowa, przerażona tą zapowiedzią odwiedzin — nie potrzeba!... A słowo Boskie!... — szepnęła do siebie. — Cudowny Jezu, przemień!...

I szybko zniknęła w tłumie, aby się przed kościołem tak ustawić, żeby mogła podczas procesyi wniknąć do wnętrza.

Inna scena odbywała się niedaleko od kościoła, ale ludzie tego widzieć nie mogli. Michał szedł właśnie do kościoła i na skrecie obok domu Bużalskiego więcej skrecił, aniżeli tego było trzeba. Ujrzał on przez szpary wrotni stojącą na podwórzu Baśkę. Staął, chwilę się wahał, a potem przystąpiwszy do bramy, otworzył furtkę, wszedł i furtkę zamknął za sobą.

Basia stała niby posąg oparta o ścianę. Twarz miała ukrytą w dłoniach, a kur-

czowe drgania świadczyły o wewnętrznej boleści.

Michał stał chwilę, nie śmiejąc przerywać boleści, której przyczyny mógł się domysleć.

Wreszcie przystąpił bliżej.

— Basiu! — wyrzekł czule półgłosem.

Basia zadrżała i opuściwszy ręce, spojrzała załzawionem okiem na młodzieńca.

— Basiu! — mówił dalej Michał drżącym głosem — ty płaczesz, martwisz się...

Tu Basia w głos zapłakała.

— O Michale — zawołała — i jakżeż nie mam płakać? — Czy nie wiesz, jakie nieszczęście zaszło?

— Nieszczęście, nieszczęście... — pomruknął Michał — toż tam zaraz nie takie nieszczęście. Ojciec się przeziębził, zachorował, ale wyzdrowieje.

— I ja się tego spodziewam — potwierdziła Basia — ale już nigdy dawna szczęśliwość nie wróci.

— Jakto nie wróci?

— Palcami nas wytykać będą — ciągnęła dalej z płaczem — jak zapowietrzonych unikać będą... Nigdzie nie będę się śmiała pokazać...

— Basiu, co ty gadasz? — zawołał namiętnie młodzian. — Wbijasz sobie w głowę

niestworzone rzeczy. Ze ojciec nie trzeźwy zbłąkał się z drogi na trzesawiska, toć każdemu pijanemu zdarzyć się może.

— Ale ludzie to inaczej tłumaczyć będą — odparła Basia. — Ty wiesz, jak to ludzie o takich przypadkach sądzą.

— At, co tam ludzie!...

— Och, Michale — mówiła dalej boleśnie — uważałam, jak przechodzący zwracali oczy na nasz dom, a niektórzy, to się tak gapili, że aż przystawali. Komuż ja będę śmiała w oczy spojrzeć?

— Na Boga, Basiu! — zawołał młodzian, — uspokój się. Ludzie pogadają i ucichną. Rozsądni nie wspomną i słowa, a na nieroztropnych nie zważać.

— Tak mówisz, Michale, aby mnie pocieszyć — mówiła dalej Basia ponuro — ale gdybyś wiedział, co ta Czarna Maryna po mieście rozgaduje, to...

— Ha! ta jędza! — krzyknął Michał — jak ją nadybię, to jej skrócę języka!... Ale ty Basiu nie martw się. Spójrz mi w oczy!... Wszakże jasne i nie podejrzewające. Przysięgłem ci tyle razy, że cię kocham, więc...

— O, nie teraz o tem! — wyjąknęła Basia. — Nie podawaj się sam na języki.

Basiu! — stęknął Michał. — Cóż to ma

znaczyć? Czyż dla nierozsądnych ludzi miałbym się zrzec twojej miłości? O, nigdy, przenigdy.

Tu ujął jej rękę, której mu nie broniła.

— Najdroższa — mówił dalej czule — znajdziesz we mnie obrońcę wszędzie i na każdym miejscu. Ja cię zanadto kocham, abym miał zważać na byle plotki. O Basiu, jeśli ty mnie tak kochasz, jak ja ciebie, to Bóg z nami.

Basia nie odpowiedziała, lecz ręka jej zadrżała. Uczuł to młodzieniec i przystąpił bliżej.

— Spójrz na mnie, — rzekł — rozjaśnij oko i powiedz, czyż mnie nie kochasz? Czy mnie chcesz się pozbyć?

— O Michale drogi — zaszlochała Basia, — ja napróżno nie przysięgam ci miłości. Kocham cię... tak... kocham... ale teraz nie mnie oczy podnieść, nie mnie myśleć o kochaniu.

Tego już było Michałowi zanadto. Ujął ją i za drugą rękę, a ścisnąwszy, zawołał:

— Moje ty życie!... Ty sama w sobie coś wmawiasz i trujesz się widziadłami, których nie było i няма. Bądź spokojna, nieza długo sam otworzę warsztat, a wtedy biada, ktoby śmiał na moją kochaną Basię palca zakrzywić!

Basia spuściła głowę.

— Nie długo będzie trwało — ciągnął dalej, a święty Sakrament nas połączy. Więc się nie bój niczego i nie strachaj plotkami.

— Michale, — odezwała się Basia po chwili — twoje słowa są pocieszające i wlewają we mnie nowe życie... Och! gdyby już dziś można wydostać się z Kiskowa!... Ale... — dodała smutnie — jeszcze nie tak daleko, młody wójt ze Sławna stoi w drodze.

Michał zadrżał.

— Ale ty go nie kochasz przecież, Basiu? — zawołał przerażony tem wspomnieniem Michał.

— Prawda, ale rodzice...

— Skoro ty mnie kochasz, o resztę nie dbam — rzekł teraz, odetchnąwszy Michał — przełamie wszelkie zapory, bom ciekawy czy rodzice twoi woleliby wiercipiętę wójta, aniżeli słusznego obywatela.

Wtem odezwało się pukanie w okno i głos matki nawołującej córkę do izby.

— Bądź zdrowa — rzekł Michał — a nie troszcz się.

— Idź z Bogiem, mój drogi! — szepnęła Basia. — Będę pamiętała na twe słowa.

To rzekłszy, szybkim krokiem zwróciła się ku drzwiom siennym, a Michał zwolna wyszedł na ulicę.

Tymczasem już było po dzwonieniu na Wierzę w Boga, a niedługo potem zabrzmiały dzwony na procesyą. Lud zaczął tłumnie wychodzić i śpiew: „Boże w dobroci nigdy nieprzebrany!“ rozlegał się echem po okolicy. Wreszcie liczny orszak duchownych w dwóch rzędach wyszedł na cmentarz, a potem ksiądz z Najświętszym Sakramentem. Lud padł na kolana, kapłan monstrancyą pobłogosławił i orszak ruszył dalej wkoło kościoła.

Michał wtłoczył się z procesyą do kościoła i udało mu się stanąć obok ławki, gdzie siedział mistrz jego, pan Maciej. Nie zważali jednakże obaj na siebie, bo rozpoczęło się nabożeństwo. Organ silnie zabrzmiał z chóru, lud się nabożnie pochylił, a kapłan rozpoczął Mszę świętą.

Ale i w duszy Michała zawrzało. Umyślnie czy nieumyślnie spojrział na ławkę... zadrżał... tam obok burmistrza siedział współzawodnik jego, wójt ze Sławna, młody urzędnik, ale wielkie znaczenie mający i posiedziciel małego folwarczku. Z wejrzenia przystojny szlachcic, a czujący swą władzę, umiał swej osobie nadać postawę imponującą, wzbudzającą szacunek. Był nawet jakimś krewnym burmistrza po żonie i w poufnej rozmowie wójt mówił do burmistrza

„wujku“, a burmistrz do wójta „Adasiu“. Publicznie zaś oddawano sobie należne tytuły: „panie burmistrzu!“ i „panie wójcie!“

Na widok tego człowieka krew Michałowi uderzyła do głowy. Nie było mu tajem, że wójt nadskakuje Bużałskiemu, częściej do niego zagląda, aniżeli by tego potrzeba wymagała, ani nie było mu też tajem, że ambitny Bużała powyciągałby wszystkie pończochy z talarami ze skrzyni, gdyby jego córka miała zostać panią wójtową i folwarczną. Wreszcie, że wójt krewnym burmistrza, więc sam skuzynowałby się z burmistrzem, a to dla obywatela bardzo wiele znaczy.

Matka Basi dotąd nie dała po sobie poznać, czy trzyma stronę za wójtem. O stosunku Basi do Michała nie wiedziała nic pewnego, tylko się domyślała, a znając młodeńca z prawości charakteru, nie stawiała temu stosunkowi tamy, ale go też ani jawnie, ani tajemnie nie popierała.

Ani Michał, ani Basia o usposobieniu matki nie wiedzieli, znając ją tylko jako we wszystkim zdającą się na męża, i też to samo wnioskowali, to jest, że wola pana małżonka będzie zarazem i jej wolą.

Nie obawiał się wprowadzić Michał współzawodnika. On, mimo młodego wieku, był

człowiekiem praktycznym i wiedział, że wójta nie nęci miłość do Basi, tylko jej majątek, a w dodatku gładki buziaczek. Że Basia dotrzyma danego słowa, także był pewnym, obawiał się tylko zwłoki, nieprzyjemności i zawikłań.

Zresztą Michał patrzył na niego oczyma współzawodnika: patrzył na tego, który mu chce wydrzeć skarb najdroższy. A zapewne nie bywało, aby dwóch współzawodników życzyło sobie wzajem szczęścia do jednego i tego samego celu.

Michał odurzony własnymi uczuciami, które nim miotaly, nie zważał ani na otoczenie ani na nabożeństwo. W głowie mu bębniło i dudniło, a przed oczyma nieraz pokazywały się błyski. Radby wyszedł z kościoła, ale to niepodobna, za tłumno, ludu się nadto napchało. Ścisk i tak był niemały i Michał przyparty do ławy ledwie dyszał.

Po jakimś czasie uczuł szarpanie za suknię, a zarazem cichy szept:

— Usiądź aści koło mnie, bo tam aści, można powiedzieć, zduszą.

Pocziwy pan Maciej tyle sąsiadów napychał, tyle nadeptał, że w samej rzeczy udało mu się dla Michała zrobić miejsce. O! gdyby on wiedział rozmowę Michała

z Basią przed chwilą na podwórzu, a teraz odgadł jego myśli, zapewne nie byłby o niego tak troskliwym. Michał uradowany usiadł co prędzej, dziękując za rzeczywiście wyrządzoną przysługę.

Michał chciał się modlić — rozłożył książkę na ławie i pilnie w nią patrzył. Widać wolno sobie czytał, bo w jedną i tę samą kartę patrzył a patrzył.

Wtem uczuł trącanie.

— Co aści? — usłyszał szeptanie — co aści? Ludzie się śmieją, aści trzymasz książkę można powiedzieć, do góry nogami...

I prawda. Michał w rozstrojeniu ducha skupić myśli nie mógł, otworzył książkę, ale w nią nie patrzył. Teraz dopiero po tej uwadze wróciła mu przytomność. Uderzył się w piersi, przepraszając Boga, że dał się innym aniżeli pobożnym myślom unieść na świętem miejscu, padł na kolana, i przykładnie wysłuchiwał nabożeństwa do końca.

IV.

Po nabożeństwie lud zaległ miasteczko i ugrupował się w rozmaite kółka, rozmawiając o przypadku Bużalskiego. Kobiety przechodząc mimo tego domu, żegnały się z cicha, mężczyźni zaś spoglądali iskrzącym wzrokiem.

— Gdyby tylko chciał wydać cioty, co go tam zaniósł, — odezwał się jakiś na włodarza wyglądający chłop tuż w gronie obok szynkowni Mośka.

— A to, to, — powtórzyli inni — człekby wiedział...

— Człekby wiedział, przed kim się ma strzedz, — prowadził swoje włodarz dalej — bo to dziś łotrostwa się namnożyło co nie miara.

— A przecie, — potwierdził inny — musiało ich tam być z mendel, kiedy grubego Bużalę unieść potrafiły...

— I namby się to przytrafić mogło, — zauważył inny o bardzo czerwonym nosie.

— Już co do mnie, — ciągnął dalej włodarz — przytrafićby się to nie mogło, bo noszę Szkaplerz święty. Ale człekby się uchronił złego. U nas w Łubowicach jednak nie wiem, coby tam za jedna być mogła.

— Popatrzcie jej dobrze w oczy, — odezwał się człowiek z czerwonym nosem — pono u nich widać zawsze kurze stopki.

— A to sobie wy tam zaglądaleście babom w oczy, — ofuknął włodarz — a cóż to?

— Ano, — jąkał się człowiek z czerwonym nosem — innej rady niema, bo choć lecą na łopacie albo ożogu, to ich nie widać.

— Na to są i inne sposoby, — przerwał

włodarz — ale nie o tem teraz. Myślę, że Bużalski gęby nie zamknie, tylko wyda.

— Ale pono nie wolno.

— Jakto nie wolno?

— Ponoby mu cioty zaraz karku nakręciły, — odezwano się chórem.

— Z nakręceniem karku nie tak pośpiesznie, — odezwał się chełpliwie włodarz — a chodzi tu o dobro wszystkich. Co taki gad czartowski ma szkodzić ludziom? Małoż kołtunów?

Tu jeden z grona wybladły, nieco obzarpany, machinalnie sięgnął do głowy. Dojrzano to poruszenie, ale nikt się nie rozśmiał, bo rozmowa była za poważną.

— Świętą prawdę powiedzieliście, włodarzu, — odezwał się kołtuniaty — ot już kilka lat, jak mnie jakaś niegodziwa obdarzyła takim strachowiskiem. Co to człek już uczynił! Włosów nie strzygłem, grosz poświęcany zakopałem z kołtunem w płynącej wodzie i przywaliłem kamieniem... nic nie pomaga. Kołtun jak był tak jest, człek wiednie, jeść nie może, chyba się czasem kieliszkiem gorzałki uraczy.

Na te słowa zwrócił oczy miłosiernie na drzwi karczmy, człowiek z czerwonym nosem dał krok naprzód i wszyscy, jakby się byli poprzednio namówili, weszli do szynkowni.

Pan Maciej był jednym z ostatnich z kościoła. Powracając, zdybał też pod kościołem Kosmowskiego, który stojąc, rozmawiał z jakimś znajomym.

Po przywitaniu poszli obaj obywatele dalej. Na skřęcie w rynek przystanęli, przypatrując się tłumom, które gromadnie chodziły to w tę, to w ową stronę.

— Co też ten lud dzisiaj ma? — rzekł Kosmowski sam prawie do siebie, — że się nie rozchodzi, jak zwykle do domów, tylko połowa po karczmach, a połowa w rynku.

Dosłyszał to pan Maciej.

— Sądziłbym, — rzekł — że nie trudno odgadnąć, boć wszyscy są pewnie zawzięci na owe, można powiedzieć, cioty, co to miały Bużałskiego...

— To źle, — mruknął Kosmowski — jak się popijają, gotowi narobić burdy.

— Burdy? — zawołał pan Maciej. — A niech się biją, kiedy ich skóra, można powiedzieć, świerzbi.

— O, o to nie chodzi, — odparł Kosmowski — ale wcale o co innego. Ano, panie Macieju, przejdźmy się tak pomiędzy ludem i podsłuchajmy.

Pan Maciej był zaraz gotów.

To, co słyszeli, bynajmniej nie było uspokajającym. Mnóstwo kołtuniatych two-

rzyło obok siebie gromady i zachęcało do skorzystania ze sposobności, aby czarownice wreszcie wykryć. Owdzie trzeźwi z gromadek wysuwali się do karczmy, a z karczem wychodzili podpili.

Po obejściu rynku naokoło, wrócili na powrót na pierwsze miejsce obok mieszkania Bużańskiego.

— Złe! — odezwał się Kosmowski. — Słyszeliście, panie Macieju, co się święci, to jest, że na Bużańskim chcą gwałtem wymódrzyć nazwisk czarownic. Dotąd to jeszcze tylko płonne pogrożki, ale skoro się popiją, to źle.

— To źle w samej rzeczy, — mruknął posępnie Maciej. — Trzebaby jako Bużańskiego, można powiedzieć, ostrzedz, trzeba innym obywatelom o usposobieniu ludu dać znać, aby w razie napaści, można powiedzieć, był ktoś do obrony. Zresztą czemu to z ratusza niema pomocy?

— Z ratusza, — odrzekł Kosmowski — dotąd nic działać nie mogą, bo chociaż się lud odgraża, to jednakże w cichości.

— Ha! w cichości! — wykrzyknął pan Maciej — temci gorzej, bo nie chcą na siebie zwrócić uwagi, aby potem mieć wolne ręce i czego, broń Boże, mogliby, można powiedzieć, sponiewierać Bużańskiego.

Kosmowski pokiwał głową.

— To, to, — mruknął — ale na to trzeba szukać rady.

I w samej rzeczy obaj obywatele zapoznali stateczniejszych mieszkańców o stanie rzeczy w mieście i niezadługo uwijali się gotowi do obrony różni obywatele. Jednakże chodzą tylko pojedynczo pomiędzy tłumem, albo wreszcie we dwójkę, aby nie zwrócić na siebie uwagi.

Tymczasem hałas się wzmacniał, a im dłużej, tem groźniejszym stawało się położenie. Było wprawdzie wielu rozsądnych, ale ci znikali wobec nierozsądnych, rozmarzonych wódką, a podburzanych przez kobiety. Coraz to głośniejsze odzywały się wrzaski i odgrażania.

— Toby to! — słysząc było od ratusza — żeby już nie można żyć spokojnie.

— Człek znajduje się w ciągłym strachu przed złem i nawiedzeniem.

— Ale się skończy.

— Skończy.

— Musi wydać.

— Musi.

Gdzie indziej znowu z grupy mężczyzn i kobiet z pomieszanych wrzasków można tylko dosłyszeć urywane głosy.

— Jeśli chrześcijanin, to wyda!

— A jak nie wyda?

— To sam ciot!

— I ona.

— I jej córka!

— Od dawna mam ich w podejrzeniu, — wrzeszczała jakaś ślepa jędza — że Bużały muszą mieć inkluzę, i mają go też!

— Widzieliście?

— Hm! nie, ale domyśleć się można i to jakby się widziało, bo skąd takie dostatki? Ona nic nie robi, córka nos do góry nosi, nawet na pocziwą mieszczańkę nie wejrzy, jeśli jest ubogą. Ha! oni mają inkluzę.

— Mają inkluzę! — powtórzono ze zgrozą — ale pójdziemy.

— Pójdziemy.

— To idźmy zaraz.

— Ale bo to... tak zaraz... — jękanono się, nie chcąc być pierwszymi, ale się zwolna z całym tłumem przysuwano do mieszkania Bużańskiego.

Na plebanii o niczem nie wiedziano. Starym zwyczajem oprócz przybyłych księży także znajdowało się obywatelstwo ziemskie zaproszone, burmistrz i niektórzy radni miasta. Obiad przy gawędzie przeciągnął się znacznie. Naonczas wiele było do rozmowy, nie tylko o sprawach tyczących się miasta i okolicy, ale i całego kraju, bo na-

stały inne rządy, chociaż forma rządu pozostała niby jeszcze ta sama.

Rozmowa była poważną.

— Nasza Rzeczpospolita — mówił pan Garczyński — widocznie poczyną oddychać, bo król Stanisław nie wdaje się we wojny i woli cichą pracą podnieść w kraju oświatę i dobrobyt.

— Ach! — westchnął jeden z księży — ale trzeba się było ziemiami okupić!...

— Jeśli porównamy panowanie Sasów z teraźniejszym — odezwał się proboszcz z Kłecka — to oczywiście zanoszą się na lepsze. Co mnie najwięcej cieszy, to jest to, że się król zajmuje gorliwie naukami, stara się o zakładanie szkółek, a stąd spodziewać się możemy, że oświata górę weźmie, i przesady ze zabobonami pomiędzy ludem się wykorzenia.

— Nie tak to łatwo — odezwał się inny — bo na wykorzenienie zabobonu setki, a przynajmniej dziesiątki lat składać się muszą. Jednakże dzięki Bogu i za początek.

— Religia, religia — odezwał się poważny, siwy ksiądz z Pobiedzisk — to grunt, i ona tylko lud utrzyma w karbach przyzwoitości.

— Hm! — mruknął burmistrz z uśmiechem — religia wiele czyni, ale bez pomocy władzy świeckiej nie wiele zdziała.

— Właśnie też to, — wpadł mu miejscowy proboszcz — że władza duchowna z władzą świecką iść powinny ręka w rękę.

— O ile się da, o ile się da — mruzczał burmistrz pod nosem, i jakby od niechcenia powstał.

Tymczasem proboszcz miejscowy wniósł toast.

— Na pomyślność i zgodę władz świeckich i duchownych, — rzekł — oby jedna z drugą zdołały krajowi przynieść spokój i prawdziwie go uszczęśliwić!

Na ten poważny toast powstali wszyscy i spełniwszy kielich, pousiadali.

W tej chwili dał się za drzwiami słyszeć szmer, drzwi się rozwarły i wpadł zadyszany organista wraz z jednym ze sług ratuszowych.

Przytomni z ciekawością i z przerażeniem spojrzeli na przybyłych, gdyż sądząc po ich zadyszeniu, musieli mieć coś pilnego.

— Cóż się stało? — zawołał miejscowy proboszcz, wychodząc kilka kroków naprzód — mówcie, organisto!

A równocześnie burmistrz:

— Cóż tam takiego? — krzyknął na sługę ratuszowego.

— Tłum — zaczął, sapiąc organista — tłum ludu ciągnie na dom Bużańskiego i chce

go zmusić, aby wydał czarownice, które go pono dziś zaniósły na trzęsawisko!

— Ach! — zawołał ksiądz miejscowy — więc to tak... — Tu zwróciwszy się do przytomnych, objaśnił, że Bużański wczoraj pijany wracając z Kłecka, dostał napadu szału pijackiego i w obłąkaniu wszedł na trzęsawiska, co lud sobie inaczej tłumaczy.

Okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi przytomnych.

— Otóż mamy! — zawołał jeden z księży. — Tu niech zaraz wystąpi powaga duchowna i świecka, aby tłum, zapewne nietrzeźwy i przez arendarzy podburzany uspokoić.

— Zadzwoń na nieszpory! — zawołał jeden z księży.

— Nie! broń Boże! — odezwał się jakiś obywatel. — Uważanoby to za dzwonienie na gwałt i jeszcze byłoby gorzej. Ale śpieszmy się.

W momencie wszystko było zarządzone. Księża w komeszkach z krzyżem stali gotowi, pozostał tylko ten, który miał mieć nieszpory. Dzwonienie na nieszpory miało dopiero nastąpić na dany znak.

Wielki był też gwałt, bo tłuszcza zabierała się do wyłamywania drzwi i okien w mieszkaniu Bużańskiego. Gdyby nie dzielni panowie Maciej i Kosmowski, którzy obywatelstwo o grożącym niebezpieczeństwie

uwiadomili, Bóg wie, co już byłoby się stało. Tak jednakże ni stąd ni zowąd stanęło przed tłuszcą wielu mieszczan, a Bartłomiej z Michałem odepchnęli napastników ode drzwi.

Kosmowski wystąpił naprzód.

— Ludzie! — zawołał donośnym głosem — co wam to w głowie? Czyż kiedy słyszano, aby w mieście Kiskowie kiedy popełniano rozboje?

Przeciągły okrzyk szyderczy był mu odpowiedzią.

— My nie idziemy na rozboje — krzyknął jeden śmielszy, bo mniej trzeźwy — ale chcemy wiedzieć nazwiska czarownic.

— To nie wasza rzecz! — odezwał się jeden z radnych poważnie. — Jeżeli o to będzie chodziło, to na to jest władza.

— Nic, nic! — wrzeszczano. — Nim władza cioty wyśledzi, to one najprzód nam głowy kołtunami obsypią i bydło oczarują, a potem umkną.

— Nic, nic, zaraz chcemy wiedzieć!

— Zaraz chcemy wiedzieć! — powtórzono.

— Naprzód.

Wołania te pochodziły po części z tyłu, gdyż na przedzie będący jakoś milczeli, snadź nie bardzo ufni w swą sprawę.

— I czegoż tak stoicie? — zawrzała

nagle zaperzona Maryna, wyskakując z tłumu tuż przy samym Kosmowskim.

— Ha! jędo! — krzyknął tenże — to ty ludzi podżegasz? Pewnie za to, że ci Bużański plecy kijem ogrzmocił, zdybawszy cię przy kradzieży.

Po tych słowach ujął babę za kark i potrząsł nią.

— Panie obywatelu! Puszczajcie ją! — zawołano groźnie.

— A któżby też to lichy trzymał — rzekł pogardliwie Kosmowski, puszczając Marynę.

— Już ona jutro na ratuszu za swą sprawkę odpowie! — dodał radny.

— Odpowiem, odpowiem — wrzeszczała Maryna — bo wiem więcej, aniżeli inni.

— A za czem będziemy czekali? — odzywano się coraz natarczywiej i natłok z tyłu pchał pierwszych naprzód. I znowu rzucono się do drzwi.

Obywatele zwątpieli, słowa ich w tym hałasie przygłuchły, tylko dzielne ramiona Michała i Bartłomieja, a potem i innych oczyściły drzwi sienne.

Ale za to pomiędzy tłuszcza wzmagało się nieukontentowanie i zaczęły się wznosić kije do góry. Zły to znak, bo znak do bójki, a obywatele umyślnie wyszli bezbronni, aby ludu nie drażnić.

I cała tłuszcza jakby jednym uderzeniem pchnięta, posunęła się naprzód, przycisnęła obywateli do ścian, a tymczasem na nowo starano się dostać to na podwórze, to do drzwi.

— Można powiedzieć, nie duś! — dało się słyszeć głośno od muru.

Ten, co go rzekomo dusił, ustąpić jednakże nie mógł, bo go i inni z tyłu pchali.

Michał na ten krzyk swego mistrza spojrzał w tę stronę, aby mu iść z pomocą, ale otóż nowy widok, widok, który go przejął lubością i przykuł do miejsca.

Od kościoła dało się bowiem słyszeć śpiewanie „Strasznego majestatu Panie!“ — Pieśń wzniosła, do głębi wzruszająca, zwróciła oczy najbliższych i wnet tłum się rozstał, a księża procesjonalnie przeszli przez tłumy aż do drzwi, przy których się jeszcze Michał z napastnikami szamotał.

I o cudo! wszyscy pokłękli i najprzód nieśmiało, a potem silnie zaczęli wtórować pieśni, czując wreszcie sami zgryzotę za czyn popełniony. Było wprawdzie wielu, którzy na wmieszanie się księży zgrzytali zębami, ale milczeli i równo z drugimi klęczeli.

Wtem odezwały się dzwony.

— Nanieszpory! nanieszpory! — wołano.

Księża wyszli znowu naprzód, nie przemówiwszy do ludu ani słowa, a lud za nimi ciągnął do świątyni Pańskiej. Obywatele się rozeszli, jednakże nie pozostawiając Bużańskiego bez straży.

Dokończono pieśni w kościele. Po skończeniu jej ksiądz miejscowy wszedłszy na kazalnicę, rozpoczął kazanie stosowne do okoliczności. Słowa jego były proste, ale przekonywające. Mówił, że Bóg skruszywszy moc szatana, odebrał mu wszelką władzę nad ludźmi.

— Przeto nie wiercie w zabobony — kończył — bo to grzechem, a potępiać kogo i posadzać tem większym grzechem. To złe, które nas nieraz spotyka, pochodzi nie od czarownic, których na świecie niema, ale od nas samych. Zresztą wszystko zaczynamy i kończmy z Bogiem i Jemu jedynie pozostawmy sąd o tem, co na razie zdaje się być przed naszymi oczyma ukryte. Bogu się polecajmy, a On będzie nam najlepszą tarczą od wszelkiego złego. Amen.

Lud padł na kolana.

— Daj to, Panie Jezu! — rozległ się szmer po kościele, a równocześnie zagrzemiał organ, zwiastując początek nieszpór.

Po nieszporach nastąpiło solenne wystawienie i suplikacye.

— Święty Boże! Święty mocny! Święty a nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami! — brzmiało w kościele i poza kościołem.

Po błogosławieństwie lud zaczął kościół opuszczać. Tu i tam jeszcze zebrano się w gromadkę, ale wnet się rozstąpiono. Obcy poszli do domów swoich, mieszczanie także. Szynkownie tu i owdzie jeszcze brzmiały okrzykami, ale gdy jaka gromadka wyszła, a zobaczyła na ratuszu halabardy na prędcę zwołanej straży miejskiej, rozeszła się. Ten i ów kiwnął głową.

— At, co tam wojować — szeptano. — Możeby człowieka złe urzekło.

— To pewne — zaręczano. — Kto się odda biesowi, tego też bies ma w swej opiece i mści się na tych, co mu chcą krzywdę wyrządzić.

— Ot pójdźmy do domu.

— Pójdźmy.

— To najlepsze.

I rozeszli się każdy w swą stronę.

Wieczorem miasteczko było przeciw zwyczajowi puste, gdyż zwykle dopiero po nieszpornach napępniały się szynkownie i hulanka trwała, aż szynkarze obrali odpustników z ostatniego grosza, puszczając ich gołych do domu. Teraz po kazaniu nieszpornem, po odśpiewaniu ze skrucłą suplikacyi, nikt nie miał ochoty bawić dłużej w mieście, a może

i dlatego, aby prędzej odejść z miejsca, gdzie tak podejrzani ludzie mieszkają.

V.

Zaraz po nabożeństwie biegła Ziębowa do domu, jakby ją kto gonił. Byłaby ona bez wątpienia prędzej już z kościoła wyszła, gdyby nie ścisk i natłok, wstrzymujący ją do końca. Przyczyną tego pośpiechu były zapowiedziane niewczesne odwiedziny Maryny.

Maryna była starą panną, liczącą może na pięćdziesiąt lat, ale zawsze dobrze wyglądającą. Trudniła się po domach posługami, praniem, czasem żebraniną i kradzieżą i tak żyła z dnia na dzień. Nie cierpiano jej, ale jej się obawiano, bo to żywa plotka, a każdemu umiała coś przypiąć, każdego obgadać, jak to zwykle takie plotkarki potrafią.

Maryna jednakże o to nie dbała. Chodziła po domach, czy jej byli radzi czy nie, a za to z innemi ubogimi kobietami się nie wdawała, czując się wyższą swym stanem. Czasem spoglądano jej też w oczy, które nieraz niezwykle były czerwone. Jedni sobie szeptali coś złego i usuwali się co prędzej, a rozsądni powiedzieli: Spła się baba i kwita.

A że lubiała ostrym płynem się pocieszać, dawała dowody na wesolach, chrzcinach, i wszystkich uroczystościach rodzinnych, na które stawić się nieomieszkała, lubo jej wcale na nie nie proszono. Dawano jej tedy zwykle chleba z dodatkami i co główna, częstowali jednym, drugim i trzecim łykiem, i odprawiali. Ale Maryna zaniósłszy datek do domu zwykle wracała i nie ustępowała, dopóki należycie się nie uraczyła.

Prócz tu i tam popełnionej kradzieży nikt jej zresztą niczego zarzucić nie mógł. Wprawdzie kiedy zajrzała na podwórko, to po jej odejściu trzeba było kurki liczyć, czy są wszystkie. Jeśli Maryna spotkała za miastem samotnie chodzącą kure, to już była jej własnością i jeszcze tego samego dnia musiała pojsć w garnek na pokrzepienie wiele wymagającego żołądka pani Maryny.

Nieszczesne jej wysłowienie się dziś przed kościołem, że ona wie więcej, podało ją natychmiast w podejrzenie, że i ona stoi w jakiejś spółce szatańskiej, a teraz wygaduje na Bużańskiego, bo ją schwytał przy kradzieniu kokoszek i należycie skórę wytrzebił.

Zięby jeszcze nie było, ale niedługo wrócił. Był blady, wylękniony i skoro wszedł, zaraz usiadł.

— Jezus, kobieto! — rzekł smutnie. — Co się to dzieje! Człekby prędzej śmierci się spodział, niż tego, co się Bużale przytrafiło.

— To, to, — potwierdziła żona — jeno że my jeszcze nic na pewno nie wiemy. Bużała nikomu o tem nie powiadał, boć go nikt na oczy nie widział. To co wiemy, to tylko domysły...

— Domysły, nie domysły — odparł Zięba chmurnie. — Tu żadnych domysłów niema. Powiedz mi kobieto, masz ty zdrowy rozum?

Ubodło Ziębowa to pytanie.

— Pytaj się sam siebie o to, nie mnie — ofuknęła. — Mnie nigdy jeszcze piątej klepki nie brakło.

— Hm, kiedy tak, — ciągnął dalej Zięba — to mi ty mądra wytłomacz, jakim sposobem Bużała mógł się dostać na sam środek trzęsawiska, a tysiąc razy się nie utopił, he?

Ziębowa milczała.

— Któż go tam zaniósł, he?

I na to Ziębowa nie dała odpowiedzi, ale zajęła się przyrządzaniem obiadu.

Widzimy więc przed sobą dwoje zabobonnych ludzi, wierzących w czary i czarownice, i bodaj mąż większym był guślarzem od żony. Zresztą byli to uczciwi ludzie. Mieli własnego pół domu, kawałek roli i wyżywiali się z pracy rąk swoich,

Prawda, ciężko im przychodziło, zwłaszcza że rodziny przybywało, ale przy skromnych wymaganiach wystarczyło.

Obiadek był skromny: suszona rzepa z kwasem i kluski, ale mimo czarownic pokutujących Ziębie w głowie, smakował mu doskonale.

Żona tymczasem namyślała się, czy ma uprzedzić męża o przybyciu Maryny, czy nie. Obrała wreszcie pierwsze.

— Słyszysz ty, ojciec! — rzekła. — Ani byś nie zgadł, kto się obiecał do nas przyjść.

— To pewno, że nie — odparł Zięba. — Ludu w mieście jak mrowia i kat wie, kto się tam gdzie zahaczył.

— Tam zaraz zahaczył!... — ofuknęła żona. — Nikt się nie zahaczył, tylko Maryna tu chce przyjść!...

— Matko Boska Częstochowska! — wykrzyknął Zięba zrywając się. — A co ta jędzka tu chce? Czy jakie nieszczęście w dom przynieść?

— Mówiła, że ona coś więcej wie o Bużałach — ciągnęła dalej żona — i powiedziała mi, że do nas przyjdzie po nieszpórach.

— Po nieszpórach! — mruknął Zięba. — Czemu nie przed nieszpórami? Ale jędzka wybrała sobie czas, kiedy już nabożeństwo

skończone, kościół zamknięty, a kusiciele po szynkach lby z za flaszek wytykają.

Ziębowa pokiwała głową.

— Wykadź dobrze izbę wiankami, — pouczył Zięba — a pod próg połóż miotłę, to zobaczymy. Zje kata, jeśli przez miotłę przejdzie. Ja jej nie wierzę.

Istotnie Ziębowa wzięła się do zabezpieczenia domu przeciw wszelkiemu urokowi. Pokropiła izbę święconą wodą, wykadziła wiankami, a wkońcu położyła pod próg stare miotlisko. Zięba zaś ze swej strony ponapędzał kury i prosięta do chlewika, zamknął mocno, splunął na urok i wrócił do domu, oczekując teraz z pewną ciekawością nowin Maryny.

Tymczasem na rynku zrobił się zgiełk i wrzawa, więc Ziębowie na nieszpory nie poszli, tylko spokojnie w domu siedzieli, nie troszcząc się o to, co się tam na rynku dzieje.

Kiedy się po nieszporach ludzie rozeszli, w samej rzeczy Maryna z czepcem na bakier i twarzą zarumienioną, okryta w pstrokata chustkę, dążyła prosto do mieszkania Ziębów.

Zięba spostrzegł ją przez okno.

— Idzie!... — krzyknął. — Wejrzyj na paznokcie a potem na miotłę.

Niebawem drzwi się uchyliły i na progu stanęła Maryna. Zapewne przypadkiem, nie widząc miotły, potoczyła się o nią tak, że miotła poleciała na izbę.

— A Słowo!... — zawołała. — Cóż to jest?

Zięba zerwał się na równe nogi, a Ziębowa zbladła.

— Ha! co jest!... Ciota jesteś, wiesz? — krzyknął Zięba. — Zaraz mi ruszaj z domu!

— Ale skąd wam to na myśl przychodzi? — zawołała przestraszona Maryna. — Skąd to?...

Zięba wskazał na miotłę.

— A co? — wrzasnął. — Niemogłaś przejść!

— Ha! ha! ha! — zaśmiała się teraz Maryna. — Nie przez jedną, ale przez sto mioteł wam przejdę. Ze się przez nią potoczyłam, toć to nic dziwnego. Ale patrzcie!...

Po tych słowach dobiegła do miotły i z niezwykłą na swe lata żywością przeskoczyła ją kilka razy.

To przekonało i udobruchało wreszcie Ziębów, a Maryna dobywszy z kieszeni dwie bułki dopadła dwoje najmłodszych dzieci, wtykając każdemu po jednej w rączkę.

— Jedzcie, moje aniołki, jedzcie — mówiła do nich pieśczośliwie. — To od waszej ciotki Maryny; ja byłam na waszych chrzcinach!... Ha! co to były za chrzciny!

Tu chciała dzieci ucałować, ale te z bułkami uciekły z krzykiem do matki.

— Daj tam pokój dzieciakom — mruknął zgryźliwie Zięba, któremu się to wcale nie podobało. — Ot lepiej powiedz, co chcesz.

Tymczasem matka odebrała dzieciom bułkiⁱ i schowała je na przypiecku, twierdząc, że dzieci teraz mają dosyć, i że schowa im bułki na później.

Maryna pokręciła głową. Wcale jej się to nie podobało. Wreszcie jednak rozpoczęto gawędę. Maryna opowiedziała wszystko, co dziś zaszło aż do końca nieszpórów. Potem rozmowa zwróciła się na Bużańskich.

I sam Zięba był tego zdania, że Bużański powinien powiedzieć to, co wiedział, jeżeli co wiedział wogóle.

Maryna się zaśmiała.

— Któż tu jeszcze może wątpić? — rzekła. — Przecież nie będziecie zaprzeczali, że czarownice chwytają ludzi i zmuszają ich do swego tańca i biesady.

— Tak gadają, tak powiadają, — odezwał się Zięba machnąwszy ręką — ale ja prawdę powiedziawszy nic jeszcze takiego nie widział.

— Ale są inni, którzy to widzieli — wtrąciła zaraz Maryna. — Są tacy, którzy to mogą opowiedzieć. Ot zaraz pierwszy mój

bratanek Piechocki, co na skrzypkach grywa po karczmach i na wesolach.

— Ten, co to każdej niedzieli nocuje w karczmach pod ławą? — zapytała Ziębowa, nic złego przy tem nie myśląc.

Maryna się oburzyła.

— Jakto, pod ławą nocuje! — wykrzyknęła. — Nie znacie się pani Ziębowa na rzeczy. Taki gracz to musi być w karczmie pierwszym i wychodzi z karczmy ostatnim. Wtedy też, kiedy jest bardzo późno, albo...

— Albo bardzo pijany... — wtrącił Zięba.

— I to się zdarzy — odparła Maryna nie zbita z toru — i to się zdarza. Do grajka najwięcej piją. Ale mój bratanek ma mocną głowę, i nie tak łatwo zwalić go z nóg pod ławę.

— Ale co on widział? — nalegał Zięba.

— Co widział? — zasyczała Maryna. — Ciekawi jesteście, i to słusznie, ale wszystkiego on wszystkim powiedzieć nie może.

— A to czemu?

— Ha, czemu! Czyż tu z dobrem do czynienia?

— Ano nie.

— Mnie zaś bratanek powiedział wszystko, ale musiałam przysiąc na zbawienie duszy, że tego nie zdradzę.

— Co on tam zaraz takiej przysięgi żąda! — zamruczał Zięba.

— No, nic dziwnego, bo gdybym ja wam wszystko powiedziała, toby wam włosy na głowie stanęły.

— Brr! — otrząsł się Zięba. — Toż to tam musi być coś strasznego!...

— A jest też, jest; — ciągnęła dalej Maryna — i kiedym ja się o tem dowiedziała, kilka nocy spać nie mogłam, i co prawda, musiałam jednego wypić, a nawet zawsze kiedy o tem wspomnę, zawsze muszę popić, bo mnie ciarki przechodzą...

Umilkła i otrzęsła się, jakby ją gorączka pobierała. Zięba tymczasem powstał, poszedł do szafy, a wydostawszy butelkę z kieliszkiem, nalał i poczęstował Marynę, która podany napój z lubością wychyliła, mlaskając następnie językiem przez dłuższą chwilę na znak zadowolenia z dobroci trunku.

Po tych słowach sama sobie nalała jeszcze jednego, a wypiwszy w ręce Ziębowej, która się wymówiła, zaczęła dalej opowiadać:

— Było to w karczmie na Wygodzie — mówiła. — Mój bratanek musiał grać jakoś na wiosnę. Powiodło mu się dobrze, i po północy mój bratanek miał sporo złotych w kieszeni i basetliście w basach nie brakło.

Byli tam jeszcze dobrzy znajomi, to więc ten, więc ów częstuje bratanka, a temu smakuje, boć się nieźle zmachał przez cały ten czas.

— No, przecież; — zauważył Zięba — tak tam noc całą smyczkiem machać!...

— Ano widzicie — prowadziła swoje dalej Maryna. — Tak zmachany człowiek radby się i położył, choć i pod ławę; — dodała uszczypliwie, strzeliwszy z boku na Ziębowa — ale nie mój bratanek, bo ten do pracy jedyny. Więc się zabrał i poszedł ku domowi. W drodze topolowej jakoś dziwnie mu się robiło. Coś ciągle koło niego skakało, coś go szarpało, aż wreszcie zrobiło się jasno jak we dnie. Teraz też już widział, że cioty kołem tańczą koło niego, a wreszcie go porwały, zaniosły na drzewo i kazały grać. Drzewo się zaraz wygładziło jak podłoga, znalazł się stółek, stół, a na nim pieczone i warzone i likiery cudne. Do tego zjawilo się kilku szatanów z rogami i ogonami. Bratanek chciał się przeżegnać, ale nie mógł, nie wiadomo czemu.

— Ha, biesy mu broniły...

— Zapewne, zapewne — potwierdziła Maryna. — Lecz słuchajcie dalej. Jakoś pozbył się strachu, zaczął jeść i pić, a im więcej jadł i pił, tem mu się więcej jeszcze jeść i pić zachciewało. Tedy cioty kazały mu

grać. Więc bratanek grał a grał, aż skrzypce jęczały, a cioty z szatanami tak wyskakiwały, że trudno pojąć, boć tam były i stare i młode...

— I młode!... — wykrzyknął Zięba.

— I młode — powtórzyła Maryna. — Dziś młodzi więcej nieraz wiedzą od starych. Bratankowi zaczęły włosy powstać, bo co chwila to szum, i znowu nowa czarownica przylatuje, aby się do tańca wmieszać. Ale... ale... podajcie mi teraz... brr! jednego.

Zięba usłużył.

— Owoż — kończyła Maryna, — pomiędzy czarownicami były znajome.

— Hu! zawołał Zięba.

— Tak, były znajome, — mówiła dalej — ale mu zakazały o tem powiadać, jeśli nie chce, aby mu łba nie ukreściły. Więc bratanek grał a grał, jadł, popijał a grał. Naraz usłyszał, że kogut pieje. Na to wszystko znikło, jakby piórko zdmuchnął i zrobiło się ciemno. Bratanek przetarł oczy i chciał się chwycić za gałąź, aby nie spaść z drzewa, ale drzewa niema, tylko leży na gołej ziemi. Teraz się też przeżegnał, a wtem znowu kur zapiał. Zerwał się bratanek, spojrzał wokoło i widział że leży pod chatą starej Kundy.

— Ha! — zawołał Zięba — jeśli ta nie jest... no, to już żadna.

Maryna kiwaniem głowy potwierdziła, ale nic nie powiedziała.

— I co go tam z drogi sprowadziło? — pytał dalej Zięba. — Wszakże od Wygody do Kiszkowa trakt bity, wysadzony topolami a chata starej Kundy stoi w zaroślach nad rzeką, gdzie człek i we dnie musi dobrze uważać?!

Maryna kiwnęła na to tajemniczo głową.

— Ja wam powiem — rzekła. — To to samo, co z Bużalą. Cioty wzięły go na wierzbę, czy topól, tam bawiły się długo, kur zapiał, i już go nie zdołały odnieść na drogę, tylko spuściły zaraz pod chatę Kundy.

— Tak może być!

— Tak też było!

— I któreż tam były? — badał Zięba. — Że stara Kunda, to jak amen w kościele.

Maryna nie nie odpowiedziała, tylko głową kilka razy kiwnęła, a potem sięgnęła do kieliszka.

— Bo żeby to człowiek mógł znać, — ciągnął dalej Zięba — toby wiedział przed kim ma się wystrzegać. A ty znasz je Maryno?

— Ha! — zawołała cała rozpalona Maryna. — Nie mam ich znać! Wiem, słyszałam, widziałam. Pełno ich w naszej okolicy...

Ale o tem mówić nie można. Są nawet takie, o którychby nikt nie myślał...

— Tak, tak, świętoszki... — zauważył Zięba.

— Oj tak, gdyby mnie było wolno powiedzieć!... — chwaliła się dalej rozmarzona już baba. — Ale nie, nie mogę wszystkiego... A sam Bużała, skąd ma taki majątek? Wszakże nie widywać, aby po kramach skórę kupował, a zawsze jej u niego pełno.

— Bodaj ci język spuchł z twojem gadaniem — odezwała się oburzona Ziębowa.

— Bużała kraść nie chodzi. Prawda, nie wałęsa się i po kramach łokciami skóry nie kupuje, ale zwozi zapas na cały rok z Poznania.

— He! he! — zadrwiła Maryna. — Pani Ziębowa bierze go napróżno w opiekę! To co przywozi z Poznania, nie starczyłoby i na kilka tygodni; to tylko na zamydlenie ludziom oczu... Ale ja wiem, skąd się to bierze!... Oto Bużała ma inkluzę, i ten mu skóry dostarcza...

— W Imię Ojca i Syna... — odezwał się Zięba. — Cóż znowu z inkluzem. Alboż go to tak łatwo dostać. Kto zresztą chce mieć inkluzę, musi się kusicielowi zaprzedać, a ten już za życia nic złego nie robi. A tu Bużała się o mały włos nie utopił!

Maryna w ciągu tej mowy kiwała głową szybko, kurczowo w lewo i w prawo, a wargi jej drgały.

— On też sam mieć go nie potrzebuje, — zawołała chrapliwie — ale kto inny w domu... Ja to wiem... Ja wiem, kto często do starej Kundy wieczorami zagląda... ja to wiem.

— Powiedźże — nalegał Zięba.

— Nie, nie mogę, ale sami się przekonacie, — odrzekła Maryna — bo jestem przekonana, że ta osoba jutro pójdzie do starej Kundy. Uszykujcie się wieczorem, to ją podpatrzemy.

— A Słowo!... — wzdrygnął się Zięba. — Gdziebym ja tam miał...

— Czemu nie? — wykrzyknęła Maryna. — Wszakże będę przy was, a wtedy wam się nic stać nie może.

— A... a... nie może! — mruknął Zięba — i odsunął się na całą długość siedzenia.

— Nie, nie wam się nie stanie, — powtórzyła Maryna — a wtedy to zobaczycie, kto to nocami do starej Kundy chodzi... Wtedy też i pani Ziębowa uwierzy, w co wierzyć nie chce.

Ziębowa była na swój czas kobietą rozsądniejszą w tym względzie od męża. Pa-

planu Maryny słuchała niechętnie, a wkońcu na zwrot do siebie wymierzony powstała, wzięła flaszkę i schowała do szafy, nie rzekłszy ani słowa.

To ugryzło Marynę, boć flaszką jeszcze nie była próżna i schowanie jej było znakiem, że ma sobie iść, bo więcej nie dostanie. Zatrzęsa się cała, zgrzytnęła zębami i zamruczała coś z cicha.

— Więc to trzeba iść, — rzekła — a wy Ziębo pamiętajcie o jutrze. Byłabym jeszcze dłużej, ale muszę iść do Brdysiaka, zaraz w sąsiedztwie, bo kupił garnków i ja chciałam od niego z jeden nabyć.

— A czy odprzedaje? — odezwała się Ziębowa.

— Sprzedaje, chociaż nie garncarzem, — dodała chytrze Maryna — ale dobrym przyjaciółom to spuści.

— A to dobrze, — rzekła uradowana Ziębowa — kiedy jeno wiem. Moje potłuczone, a do jarmarku daleko.

Maryna się jeszcze pokręciła, lecz widząc, że ani Zięba, ani jego żona o dłuższy pobyt nie proszą, rzuciła raz jeszcze tajemniczo okiem na Ziębę, a złośliwie na Ziębowa, i wyszła.

Wtedy też dopiero obu małżonkom jakby kamień spadł z serca.

— Że też ty tam zaraz musisz się z taką Maryną wdawać w mowy! — zgromiła męża Ziębowa. — Wiesz, że to plotkarka, klepie trzy po trzy, a jak się spije, to chce wszystko lepiej wiedzieć.

— No, no, — tłumaczył się mąż — żebym ja jej zaraz wszystko wierzył, to nie. Ale taka kobieta, co to z niejednego pieca chleb jada, może od człeka też więcej wiedzieć.

— Chyba, że sama ze złem trzyma, wtrąciła Ziębowa. — Bo jakże kto pocziwy może znać sprawy kusiciela?

— Zanadto dobrze też tej jędzy z oczu nie patrzy — zawołał Zięba — i gdyby jej kto łątkę przypiął, nie mówiłbym ani słowa.

— Słuchaj mnie przecież — rzekła teraz mocniej żona — i porzuć wreszcie te myśli o ciotach i czarownicach. Wszakże chodzisz do kościoła i tyle razy słyszałeś, że to zabobon, że to gusła. Bóg rządzi ludźmi, a nie piekielnik.

— Ale jak mu się kto zapisze? — zauważył Zięba.

— Niech mu się sto razy zapisze, — prowadziła dalej Ziębowa — to tam już jego rzecz, ale szkodzić nikomu nie może, chyba może takiemu, co już też popadł w ręce piekielnika.

— A jakto Piechocki na wierzbie grać musiał!... he?...

— Piechocki nigdy trzeźwy z muzyki nie wraca, i Bóg tam miły wie... Zresztą niema o czem gadać... Bogu dzięki, że tylko ta Maryna sobie poszła.

— O Bogu dzięki — odetchnął Zięba, — bo i mnie było duszno.

Po tych słowach wstał, nacisnął czapkę i poszedł w podwórze. Ciemno było, ale mimo tego widział jakąś postać, która mu nagle znikła.

— W Imię Ojca i Syna... — zawołał nawracając się do domu i opowiadając o tem żonie.

— Co to było? — odrzekła mu z uśmiechem, — to zapewne Maryna poszła zobaczyć, ile mamy kur w chlewiku. Idź jeno i zobacz.

Zięba zapalił latarkę i otworzył chlewik; kury były wszystkie, więc uspokojony wrócił do izby.

VI.

Ziębowa wcale się nie omyliła, była to bowiem w samej rzeczy Maryna, która odchodząc, nie zapomniała i o kurkach. Chlewik był zamknięty i na dobitkę wy-

szedł Zięba. Przycupła do ziemi w kąciuku, Zięba się nawrócił, i tak jej ujść się udało.

Jak powiedziała, tak też zrobiła w samej rzeczy i wstąpiła do Brdysiaka. Tu mogła być swobodniejszą, jak u Ziębów, a nawet spodziewała się, że poczęstne będzie, bo Brdysiakowa zawsze ma zapas i częstować lubi, chociaż sama przy tem nie pomaga.

Weszła do izby, i jak zwykle, wprzód stanęła w progu.

— A ciebie tu wciorności niosą, brzydka jędo! — krzyknął Brdysiak. — Zaraz mi się wynoś!

Kto inny usłuchałby tego, ale nie Maryna. Ona już okiem powiodła po izbie i już wiedziała, że nawet potrzebną będzie. Nie odpowiadając, weszła, zamknęła drzwi za sobą a potem pochwaliła Pana Boga.

— Na wieki! — odrzekł Brdysiak z uśmiechem. — A od kiedy takie jędze Boga chwalić się nauczyły?

— Ej, ej! — pogroziła Maryna. — Nie drwijcie sobie, żeby was Bóg nie skarał... A co wy tam robicie Małgorzato?

Te słowa zwrócone były do żony Brdysiaka, która stała obok chłopca leżącego na łóżku z owiazaną głową.

— A co mam robić? — odpowiedziała

zakłopotana Małgorzata. — Frącek mi chory i nie wiem wcale od czego.

Maryna z powagą zbliżyła się do łóżka. Spojrzała na chłopca, który z oczyma zamkniętymi leżąc, stękał, jakby miał jakie bóleści. Był blady jak trup i co chwilę zabierało mu się na mdłości.

— Od kiedy Frącek chory? — zapytała Maryna. — Wszakże po południu widziałam go biegającego, a nawet był po nieszpórach u Gizy w szynkowni z waszym kumotrem.

— Ano toćto — lamentowała Małgorzata. — Chłopiec biegał, prawda, chodził z kumotrem prawda, a wrócił do domu jak Turek czerwony, taki zdrów. Naraz zrobiło mu się bardzo źle, zaczął zwracać... i chory.

— To przyrok! — krzyknęła Maryna. — Odczynialiście już?

— Nie jeszcze, bo...

— A to jeno śpiesznie przygotujcie zimnej wody w kubek i przynieście skórę chleba, a ja chłopcu zaraz przyrok odczynię.

Brdysiak zaczął coś pod nosem mruzczyć, ale głośno się nie odzywał, nie chcąc z kobietami wojować, a zresztą odczynienie przyroku chłopakowi nie zaszkodzi.

Podczas kiedy Małgorzata na węglach przypiekała skórę, Maryna zdejmowała ze

siebie chustkę, poprawiła czepca i coś nad chorym pomruczawszy, wzięła skórę, pokrajała na drobne kawałki i wpuściła dziewięć kawałków we wodę, a potem dziewięć kawałków żarzących się węgielków. Węgłe zasyczały i opadły. Maryna zawołała tryumfująco.

— Patrzcie, węgle opadły...

— To przyrok! — potwierdziła Małgorzata.

— To przyrok — potwierdziło kilka innych niewiast znajdujących się w izbie.

— Poszukajcie teraz waszej starej koszuli — rozkazywała dalej Maryna — i przynieście mi natychmiast sierp.

Wkrótce rozkaz jej był spełnionym. Maryna dała się chłopcu napić wody z kubka, resztą obmyła skronie i otarła koszulą. Potem wzięła sierp i rozpoczęła zażegnwanie, wymawiając każde słowo wolno i dobitnie.

Szczęśliwa ta matka,
Co tego Frącka rodziła.

W Imię Ojca † i Syna † i Ducha świętego

Poszedłci był miły Krzysztofor,
Wziąwszy siekierę i topór,
Napotkała go osoba.

W Imię Ojca † i Syna † i Ducha świętego.

I pytała się w te słowa

— Dokąd idziesz Krzysztoforze?

A cóż ci po tym toporze?

W Imię Ojca † i Syna † i Ducha świętego.

— A to idę do Frącka,

Co go trapi gorączka,

Ratować go z wielkiej mocy,

Aż zaraz z niego wyskoczy.

W Imię Ojca † i Syna † i Ducha świętego.

Niech to bolenie,

Wypadnie w golenie,

Z golenia w ziemię

Na trzy sążenie

Daj to Panie Święty.

W Imię Ojca † i Syna † i Ducha świętego.

Niech nie trapi gorączka Frącka chorego.

Skończyła, złożyła sierp i poczęła chłopca nakrywać pierzyną. Wtem ode drzwi słyhać było pozdrowienie: „Niech będzie pochwalony!”

— Na wieki wieków — odpowiedział Brdysiak, podając rękę na powitanie — wy jeszcze w Kiskowie? Myślałem, żeście już dawno w domu.

— A tam, w domu — zaśmiał się gość, widocznie jakiś gospodarz. — Człek się trafi to z tym to z owym, zwyczajnie jak na odpusćcie. Przecież to tylko raz do roku świętego Jana.

— Anoć tak — zaśmiał się Brdysiak — ale śpieszcie się do domu, żeby wam się tak nie stało, jak Bużale.

— Babskie plotki, nic więcej — zawołał gość, dochodząc do Małgorzaty na powitanie, a ujrzawszy Marynę, dodał: — A patrzcie ją, póki ona tu, to mnie też nic na trzęsawisko nie wniesie.

I zaśmiał się głośno, Brdysiak zawtórował, lecz niewiasty milczały. Maryna skoczyła jak oparzona.

— Co wy myślicie, chamie jakiś! — krzyknęła. — Coście za jeden? Chłop ze wsi a wasza kobieta jedzą, której zapewne wystrzegać się więcej należy, jak mnie pocziwej.

— I pocziwej jeszcze! ha! ha! ha! — śmiał się gospodarz. — Zapewne moje kury zrobiły cię tak pocziwą, coś mi je pokradła, ty cioto!

— Wasza jest ciotą! — krzyknęła Maryna, a oczy jej się zaświeciły. — Wasza jest ciotą! Wiem to i wszystkim opowiem.

— Stul gębę! — zawołał groźnie gospodarz i uniósł do góry dębczaka — bo patrz... mam ci twe słowa na plecach wypisać?

Maryna widząc, że mogłaby co obezwadzić, schroniła się za Małgorzatę, Brdysiak zaś zagadał go o dziecku.

— Frącek nam zachorzał — rzekł —

i to nagle. Kiedy tam od was ze szynkowni wrócił, to był jeszcze zdrów jak ryba, a czerwony jak rak. Lecz potem zbladł jak chusta, a nawet zwracał. Maryna powiada, że to przyrok, i odczyniła mu go i zażegnała. Zdaje się, że chłopcu lepiej.

— Maryna... Maryna... — mruczał gospodarz — ta zapewne sama dostała przyroku bo jej się ślepie świecą, jak kotowi w nocy... Dobryć to przyrok! Właśnie dlatego wstąpiłem, żeby się dowiedzieć jak z chłopcem. Bo to ja go poczęstowałem jednym i kazałem iść do domu, ale chrzestna zatrzymała, kupiła mu bułkę i znowu jednym poczęstowała. Nadszedł Płotka z Rybienka, piliśmy do siebie, a on bawiąc się z Frąckiem znowu go raz czy dwa razy poczęstował. Miałem strach, że to będzie za wiele i wypchnąłem chłopaka do domu.

Przez cały czas opowiadania gospodarza Małgorzata załamywała ręce nad głową, Maryna robiła szydercze grymasy, a Brdyśiak się skwasił.

— To tak wygląda, kumotrze, — rzekł z niechęcią — jakby to nie był przyrok, jeno się chłopak...

— Upił — przerwał kumotr. — Sam zły jestem na siebie, aleć się stało. Na inny raz...

— Na inny raz wam go też nie puszcę — przerwał Brdysiak. — Możecie tego być pewni.

— Ano, kumotrze i kumoszko — mówił dalej gospodarz, podając ręce na pożegnanie — toć mi już wybaczcie, bo to się stało mimo mej woli... A tej tam jędzy zdałoby się dębczakiem przyrok odczynić!... wypędzić ją, żeby wam chłopca nie oczarowała.

Tu Maryna chlusnęła potokiem słów tak dobranych, tak wyraźnie oskarżała żonę gospodarza o czary, że tenże byłby jej naprawdę skórę wyłatał. Brdysiak chcąc zwadzie koniec położyć, chwycił za czapkę.

— A wciorności was trapią z babami! — zawołał gniewnie. — Ot chodźcie lepiej ze mną do Gizy, bom dziś nigdzie jeszcze nie był.

Po tych słowach wyprowadził kumotra i drzwi za sobą zatrzasnął.

Czas niejaki panowała cisza, aż wreszcie wynurzyła się Maryna. Poprawiając czepca skrzyła go więcej na bakier, a potem okryła się chustką i usiadła.

— Ha! — zawołała — tak to ludzie płacą za dobre! Co ja temu Grzelusze już wyświadczyłam dobrego, a jak to on mnie

wyzywa!... Ale poczekaj!... A co mi za mędrzec!... Więc to dziecko nie miało przyroku? I taki cham śmie to mówić?

— Ano... bo... — jąkała się Małgorzata. — Bóg ci tam wie. Kiedy to Grzelucha sam powiadał, że bezrozumnie dawano wódki, toć to i nareszcie... Ale mniejsza o to. Chłopiec śpi, to mu dziś zdrowo, a jutro dam mu innego lekarstwa na pamiętne, aby więcej takich przyroków nie dostawał.

— To i wy widzę mi nie wierzycie — zadaśała się Maryna — a ja wiem, że to był przyrok.

Nagle jakaś dzika myśl strzeliła jej do głowy, zerwała się, zaśmiała się złowieszczo i zawołała:

— Ja to sprawię, że ta, co go przyroczyła, jutro rano do was przyjdzie.

— Ciekawam.

Macie nowy garnek?

— Mam. Mój co jeno kilka kupił.

— Owoż weźcie to — mówiła dalej Maryna, wydobywając coś z kieszeni w szmatkę obwiniętego. — Jest to ziele z dziewięciu grobów i kawałeczki z dziewięciu trumien. Dostałam to raz... kiedyś... od starej Kundy... Podajcie jeno garnek,

Małgorzata machinalnie podała. Maryna wysypała cząstkę prosza, resztę starannie schowawszy.

— Ten garnek na noc powieście w kominie, — rzekła — a czarownica całą noc z bólu spać nie będzie i zaraz rano przybiegnie, abyście jej garnka pożyczyci, albo sprzedali, bylebyście jej nie swędzili.

— Ale to może grzech!...

— Ha! przyrok rzucić to nie grzech! — zadrwiła Maryna. — Spróbujcie jeno, spróbujcie. A teraz już pójdę, bo jakby Grzelucha jeszcze raz wrócił, tom mu gotowa oczy wydrapać, tak zła jestem na tego chama.

To powiedziawszy odeszła. Nie wyszło jednak pacierza, a dał się słyszeć straszliwy krzyk: — Ratujcie, bo mnie zabije!

— Jezu Chryste! — zawołała Małgorzata — to głos Maryny. Co ją tam spotkało?

I wybiegła na próg. Wołanie o ratunek ustało, tylko Maryna przesyłała komuś całe kopy życzeń, z których gdyby się choć jedno najlżejsze spełniło, jużby ten ktoś miał ręce i nogi połamane.

Wtem nadszedł Brdysiak.

— At nic! — odpowiedział ze śmiechem mąż. — Oto Grzelucha przemierzył dwa czy trzy razy Marynę dębczakiem przez

plecy, bo się za nami czała, jakby co złego miała na myśli. Zresztą pamiętne jej dał za żonę.

Tak opowiadając weszli do izby. Brdysiak co chwilę wybuchał śmiechem, ale Małgorzata milczała. Zanadto dziś wrażeń na nią spadło, aby mogła śmiać się z tego, że Grzelucha Marynę poturbował.

Grzelucha był to zamożny gospodarz, mieszkający zaraz na drodze węgorzewskiej ku Gnieznu. Dobrze mu się wiodło, boć on był gospodarzem, i jego żona zawołana gospodyni. Parobcy i dziewczki już tam siły nadłożyć musieli, stąd też trudno było dostać służby, ale jak się też kto porządny trafił, to siedział. Leniwcy powyganiani, narzekali na gospodarza, że nagli i pędzi do roboty jak bydło, a na gospodynię, że skąpa, zręda, czysta jędza.

Tymczasem od kilku lat miał Grzelucha służbę dobraną. Jej było dobrze i gospodarzowi także. Nie narzekali na jadło, bo go owszem mieli obficie, ani nie narzekali na robotę, bo robili tylko to, co było potrzebne. Ale że robili zawsze zawczasu i nigdy się nie opóźniali, przeto robota szła im też od ręki.

Przyjaźnił się z Brdysiakiem, więc najprzód Grzelucha zaprosił Brdysiaka w ku-

motry, a potem Brdysiak Grzeluchę. Inaczej nie byłoby poszło, gdyż Brdysiak jako obywatel miasta Kiszkowa, aczkolwiek chodził na zarobek, to depcąc glinę, to kopiąc rowy, jednakże nie skumałby się z chłopem, gdy ten już mu drogi nie utorował. Zresztą też na tem kumoterstwie Brdysiak źle nie wychodził, bo Grzeluchowa prawie co targ to masła oseleczkę, to bochenek chleba dawała, a Grzelucha to snopek słomy, to siana dla kozy, a czasem też i półszeflik zboża swemu kumowi podał.

To był więc ów kumotr, ale niekoniecznie lubiący Marynę. Miał on już z nią wiele do czynienia, bo mu się zawsze narzucała to z wróżbą, to w chorobach, a Grzelucha jej po prostu nie wierzył. Wierzył on w czarownice, ale te były jego zapatrywaniem mędrsze, wyżej stojące od Maryny, która nic nie wiedząc, udawała, że wiele wie. To samo zresztą i inni sądzili, i to też wychodziło jej na dobre, bo w innym razie jużby ją może spalono.

Kiedy Grzelucha przybył do domu i opowiedział zajście z Maryną żonie, ta go zgromiła.

— Nierozsądnie postąpiłeś sobie — mówiła. — Ona może więcej szkodzić, jak pomódz.

— Jać jej się tam nie boję — rzekł z lekceważeniem Grzelucha i wyszedł na podwórko.

Małgorzata ani słówkiem nie wspomniała mężowi, co jej wkońcu Maryna poleciała. Gdy się też położył i zachrapał, ona przeżegnawszy się święconą wodą, powiesiła garnek w kominie nad żarem, a poleciwszy się Bogu poszła na spoczynek.

Sen jej był niespokojnym. Nigdy dotąd jeszcze nie zakładała sideł na czarownice: bała się więc skutków. Zbudziła się też rychło, wstała, odstawiła garnek na bok w kominie i z bijącym sercem czekała dalej, co z tego będzie.

Jakież było jej przerażenie, kiedy rano jeszcze przed śniadaniem Ziębowa z obwiązaną głową przyszła z prośbą o ustąpienie jej nowego garnka!... Małgorzata struchlała, cofnęła się o kilka kroków i na chwilę słówka przemówić nie mogła.

Więc to Ziębowa też jest taką!... Któżby się tego był spodziewał! A że prawda, dowód oczywisty. Nie tylko, że przychodzi po garnek, ale widocznie cierpiała w nocy. Od czego? Ano od ziela, swędzącego w garnku...

W izbie nikogo więcej nie było, Brdyśiak i służebna byli na podwórzu. Nie

dziwić się tedy, że Małgorzata wyżyła nie-mało strachu. Jednakże nie chciała i nie mogła zdradzić po sobie tego, co rzekomo wiedziała.

Ziębowa zadziwiła się wprawdzie prze-rażeniem Małgorzaty, które się wyraźnie na jej twarzy malowało. Nie domyślała się jednakże biedaczka przyczyny.

— Słyszałam — zaczęła — że wasz mąż, sąsiadko, ma nowe garnki. Czyż nie mógłby mi z jednego ustąpić?

— Tak... ma, tak ustąpić... — jąkała się Małgorzata, nie wiedząc, jak sobie poradzić.

Nagle przyskoczyła do garnka w ko-minie, podała go Ziębowej i drżącym głosem oznajmiła, że za to nic nie żąda. Ziębowa odebrała garnek, ale nim zdołała coś odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i służąca na widok Ziębowej z garnkiem zakrzykła przeraźliwie i uciekła.

Struchlałej Ziębowej wypadł garnek z ręki i roztrzaskał się na drobne kawałki.

— Sąsiadko, — zapytała drżącym głosem — co to dziś wszystko znaczy?... Ani was nie poznaje?...

— Idźcie do domu sąsiadko, idźcie — wykrztusiła Małgorzata. — O więcej nie pytajcie.

— Na Boga, cóż to?

— Idźcie, idźcie — nagliła Małgorzata.

— Niech was tu nikt inny nie zastanie.

To rzekłszy gwałtem prawie wypchnęła ją za drzwi.

Tymczasem dziewczka wypadła na podwórze.

— Aż zgroza, co się dzieje! — zakrzyknęła. — Ciota jest u naszej gospodyni.

— Nie wyspałaś się, czy co? — zamruczał Brdysiak. — Pewno jeszcze marzysz?

— Nie, nie; widziałam na własne oczy i nie dam się przekonać — mówiła dalej dziewczka. — Widziałam, jak przyszła po garnek, któryby ją był zadusił.

Tu Brdysiak wytrzeszczył oczy, sądząc, że dziewczka zwaryowała.

— Gadajże mi dziewucho po ludzku, — rzekł — żebym mógł zrozumieć! Kogo i jaki garnek miał zadusić?

Tu dziewczka opowiedziała, jako wczoraj Maryna kazała Małgorzacie powiesić w kominie nowy garnek ze zielem z dziewięciu grobów i dziewięciu trumien. Czarownica, która na Frącka rzuciła urok, cierpiała przez swędzenie się ziela całą noc wielkie bóle i już rano przybiegła po ten garnek, aby jej więcej nie dręczył.

— I któż ta ciota? — zapytał, marszcząc brwi.

— Ktoby się tego spodziewał!... — zawołała, załamując ręce dziewczka — a to... Ziębowa.

— Niech to i owo porwie! — zaklął Brdysiak, i zaraz udał się do izby.

— Coście wy tu, niegodziwe kobiety, porobiły! — krzyknął. — Toż ty na twe stare lata też jeszcze myślisz oszaleć?

Małgorzata zalała się łzami.

— Bo to... bo to... ta Maryna! — jękała się. — Ona mnie do tego namówiła. Ale to będzie ostatni raz w życiu.

— Tej Marynie kości połamię! — dąsał się Brdysiak — a ty sama widzisz, żeś się popisała jak dziecko. No, ale o tem sza! Żeby mi nikt o tem się nie dowiedział.

Brdysiak wydał ten nakaz zapóźno, albowiem dziewczka już sąsiednim dziewczkom przez płot ową do nieuwierzenia nowinę przeniosła, a te nieomieszkały pozbyć się także coprędzej tajemnicy. W kilka godzin później opowiadano sobie już o tej nowości prawie w każdym domu, jedni śmiejąc się z tego, inni kiwając poważnie lub dwuznacznie głowami.

Brdysiak poszedł do Ziębowej pytać się o przyczynę, dlaczego po garnek przy-

szła i skąd wie, że on miał na zbyciu. Ziębowa rzetelnie opowiedziała, że słyszała to wczoraj od Maryny, której też powiedziała, że potrzebuje garnka.

Brdysiak zrozumiał niecny fortel piekielnej Maryny, ale nic nie, mówił, tylko obiecawszy jej przysłać inny, odszedł.

VII.

Dzień poniedziałkowy był podówczas dniem targowym. Że to po odpuście, targ nie tak ożywiony, a ludzie jakoś skwaszeni, zaniepokojeni wieściami, które nie wiedzieć jakim sposobem, rozbiegły się pomiędzy wszystkimi. Tu i tam gromadki mieszczek rozprawiały coś tajemniczo, oglądały się, czy ich kto nie podsłuchuje, a potem z miną pełną powagi i zamyślenia się rozchodziły.

Katarzyna Grzeluchowa już też była na targu ze swem masłem. Aż miło było patrzeć na prześliczne, apetyczne oseeki, ale o dziwo! — mimo zwyczaju nikt nie kupował. Jeśli jakaś mieszcza biegła z miasta, to bez wątpienia wprost do Katarzyny, ale trafiawszy się z inną, pomówiwszy z nią, najprzód dawała znaki zadziwienia, a potem ominawszy Katarzynę, kupiła gdzie indziej.

Oczywiście, że jeszcze niebywałe zjawisko musiało gospodynią zastanowić. Sprze-

dała wprowadzić kilka oselek, ale to na samym zaraz wstępie, później jakby uciał. Tu w tem tkwić coś musiało, ale co, tego naturalnie odgadnąć nie mogła. Wpadła wreszcie na myśl, że może w sprzedanych osełkach znaleziono co takiego, co od dalszego kupowania innych odstręczało. Była ochędożną i lubiła czystość, ale pomimo woli może jaki przypadek mógł jej wypłatać figla. Z tego powodu była niespokojną i po pierwszy raz z niesprzedanym towarem wróciła do domu.

— Widzisz! — mruczała za nią Czarna Maryna, wygrażając pięścią — widzisz... ale czekaj, za moje łozy ty mi odpowiesz...

Grzeluchowa zasmucona wróciła do domu i powiedziała mężowi, co zaszło.

Grzelucha się zamyślił.

— Nic to innego — rzekł — tylko ta niegodziwa Czarna Maryna jakich plotek narobiła. No, ale ja już się z nią rozprawię.

— Dałbyś lepiej pokój — perswadowała mu żona. — Takim niegodziwcom lepiej ustąpić z drogi, bo taka plotkarka pomódz nikomu nie może, ale tem więcej zaszkodzi. — Grzelucha nic nie odpowiedział, tylko wyszedł na podwórze.

Nagle ukazała się w podwórzu Ma-

ryna. Z ócz jej można było wyczytać jakąś tajoną radość.

— Jakże Grzelucho, cóż to żona wasza porabia? — zapytała szyderczo.

Grzelusze przy tych słowach było, jakby go była żmija ukąsiła.

— Ha, jedzo piekielna, tożes ty była tą, która rzuciłaś zarazę na masło Katarzyny.

— Tak! widzicie, że Czarna Maryna potrafi się zemścić za zniewagi, jakie jej wyrządzają. Teraz przyjdzie kolej i na Was. Czarna Maryna nie pozwoli sobie wyrządzać bezkarnie niesprawiedliwości.

— Idź do wszystkich katów ty szatanie wcielony — przerwał jej z oburzeniem Grzelucha. — Na twoją sprawiedliwość dawno już towarzysze twoi w piekle smoły w kotle uwarzyli i zacierają już teraz ręce z radości, że wkrótce wierna ich służebnica odbierze swą zapłatę od nich.

— Niedoczekacie tego; przód my się jeszcze tu obrachujemy ze sobą.

Naraz słyhać zewsząd hałas jakiś dziwny. Grzelucha wypada przed chałupę zobaczyć, co się dzieje.

Hałas się zaczął wzmacniać na jego widok. Oczy wszystkich wlepiły się w niego. Grzeluchę opanowała jakaś dziwna bojaźń.

— Widzicie go, jaki zmieszany. Poczująca się do winy.

— Tak tak. Widać złe w nim.

— Oczywiście. Bo skądby syn Brdyśiaków przyroku tak nagle dostał.

— On go przyroczył.

Grzelucha domyślił się teraz, że to Maryna mści się na nim. Zbladł z oburzenia. Odwrócił się w stronę, gdzie Maryna stała, spojrzawszy na nią wzrokiem, który ona jedna rozumiała najlepiej. Ale Maryna odpowiedziała mu nań prawdziwie szyderczą miną, w której przebijała się piekielna radość.

— Sąsiedzi kochani — zaczął Grzelucha — cóż się to wam stało? Cóż tu chcecie po mnie?

— Trzymasz ze złem — odrzekł jeden z nich, na samym przodzie, widocznie jeden z pierwszych we wsi.

— Tak, tak — dodał drugi.

— A któż te przyroczył Frącka Brdyśiaków? — wtracił inny.

— Skądby mu się tak dobrze powodziło. Nic innego, jeno ze złem trzyma.

— Chwytać go! — zawołano teraz ze wszystkich stron.

— Ależ sąsiedzi! — zaczął znowu Grzelucha. — Posłuchajcież mnie rozsądnie. Opowiem wam, jak się rzecz ma!

— Na to niema teraz czasu! — zawołał przodownik. — Przekonamy się, czyś winny, czy niewinny. Chwytać go!

I już się zabierali do niego. Napróżno błagała żona za nim. Wtem nadeszła pomoc niespodziewana. Na drzędzie do wsi ukazał się wóz, a w nim ksiądz proboszcz z Kiskowa z Panem Jezusem, dążący do niebezpiecznie chorego. Lud roznamiętniony, na odgłos dzwonka rozproszył się. Nastąpiła cisza. Wszyscy poklękali.

Kapłan zdaleka ujrzał, że we wsi niedobrze się dzieje, i z niemałym zdumieniem zauważył, że znęcano się nad Grzeluchą, o którym wiedział, że to był jeden z najwięcej dotąd poważanych gospodarzy we wsi.

— Cóż się to dzieje! — zagrmiał głos starca. — Ani kroku dalej, dopóki nie wrócę od chorego i nie przekonam się, o co tu chodzi.

Donośny głos kapłana przyprowadził gospodarzy do rozwagi. Powaga jego, osłonięta przytem suknią kapłańską, wywierała nawet i na największego grzesznika jakiś wpływ tajemniczy.

Gospodarze usłuchali głosu pasterza swego i wraz z Grzeluchą pobiegli za nim, a stanawszy przed domem, w którym znajdował się chory, poklękli, modląc się.

Minęło może pół godziny, gdy kapłan mieszkanie opuścił i zwrócił się do zebranego tłumu.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — temi słowami ich przywitał.

— Na wieki wieków! — odpowiedziano mu jednogłośnie.

— Kochani moi paraftanie, opowiedzcie mi teraz, dlaczego to znęcaliście się nad Grzeluchą. Czy to się godzi? Cóż to on wam zawinił?

— Proszę Jegomości, on ze złem obcuje — odparł przodownik.

— Tak, to prawda. Czarna Maryna nam to opowiedziała — wtrącił inny. — On to był przyczyną przyroku Frącka, syna Brdysiaka, który dopiero za jej pomocą i jej zażegnaniem przyszedł do zdrowia.

— Czyż to Grzelucha ma być winien, że syn Brdysiaka zachorował? Moi kochani, posłuchajcie. Nieraz już mówiłem, że Najświętsza Panna moc czartowską skruszyła i że od tej chwili szatan żadnej władzy nie ma nad nami. To złe, które jak wy mówicie pochodzi od czarownic i które miało i Grzeluchę opanować, nie pochodzi od czarta, ale pochodzi od nas samych, pochodzi od złych ludzi, którzy drugim chcą szkodzić na sławie i czynią to albo ze zemsty,

nienawiści, albo z zawiści. I tu tak będzie, Grzeluchę znam jako poczciwego człowieka. Uczęszcza regularnie do kościoła i do spowiedzi, nie wierzę zatem aby mógł co złego zrobić. Z pewnością jest tu jaki zły człowiek, który sieje niezgodę między wami. Tym złym duchem jest Maryna Kwaśna, którą tu powszechnie nazywają Czarną Maryną. Ona to sprowadza bezustannie te niesnaski i niezgodę pomiędzy ludzi. Znam ją bardzo dobrze i wy ją znacie z pewnością. Wiem, że jej nie szanujecie, lękacie się jedynie jej języka złośliwego, gdyż niejednego uczciwego ta niegodziwa kobieta zrobiła nieszczęśliwym. O niej to możnaby powiedzieć, że trzyma z złym duchem, bo jeśli idzie do kościoła, to jedynie na to, aby módz się zejść z ludźmi i obczernić kogośkolwiek. Unikajcie tej kobiety, lub ją chwytajcie zamiast Grzeluchy i oddajcie w ręce sprawiedliwości. Ja sam stanę za świadka, by zdać świadectwo z jej uczynków.

Temi słowami zakończył czcigodny pasterz przemowę swą i odjechał.

Mowa jego na słuchaczach zrobiła ogromne wrażenie. Niektórzy z nich rozsądniejsi, już na samym początku nie wierzyli Marynie, gdy im zaczęła opowiadać o Grzelusze. Pomiedzy nimi znajdował się

i Brdysiak sam, który był w gościnie u Grzeluchy. Ale ten, jak i wszyscy inni lękali się Maryny, i dlatego nie wzięli Grzeluchy w obronę, owszem przytakiwali jej, gdy coraz to bardziej nań wymyślała. Teraz dopiero, widząc, że ksiądz proboszcz naprowadził wszystkich na inne myśli, starali się wyzyskać tę sposobność.

— Ja już dawno nie wierzyłem tej jędzy — rozpoczął Brdysiak. — Mówilem zawsze, że ona trzyma z biesem. Czyż nie widzimy i nie przekonujemy się codziennie, że choć nikt nic nie wie we wsi o harcach ciot i czarownic, ona ciągle coś widzi, coś słyszy. Wszakże i u mnie coś podobnego się przydarzyło. Grzelucha jest mym kumotrem. Otóż zdarzyło się zeszłej Niedzieli, że przyjechał do mnie na odpust. Sprzyja on bardzo Frąckowi, więc wziął go ze sobą do szynkowni, no i poczęstował go kieliszkiem wódki. Kazał mu pójść następnie do domu, ale chrzestna rada, że udało się jej raz zobaczyć swe chrzestnie, poczęstowała go drugim. Znalazł się ktoś inny jeszcze i ten poczęstował Frącka dwoma kieliszkami. Skończyło się na tem, że Frącka spojonego sprowadzono do domu. Z początku cieszą się, że chłopiec rumiany, że czerstwo i zdrowo wygląda, bo nie wiedziano, że pi-

jany, a gdy nagle zbladł i padł bez zmysłów, Maryna zawyrokowała, że to przyrok. Wśród zażegnania przyszedł Grzelucha, opowiedział jasno sprawę, a że Maryna nie chcąc stracić na sławie, zaprzeczała, jakoby chłopak był pijany, i że ona musi lepiej wiedzieć co mu braknie, więc posprzeczała się z Grzeluchą na dobre, przyczem niemało mu ubliżyła. Grzelucha nie mógł tego przenieść na sobie i gdy wieczorem wracał ze mną z odwiedzin, ogrzmocił jej plecy za to, że przyczaiła się w jakimś kącie, chcąc podsłuchać naszej rozmowy. Teraz oto zemściła się w ten sposób, ale ta zemsta wyjdzie jej pewnie na zgubę.

— Ta jędza nie zasługuje na nic więcej, jak na to, aby jej żywcem wyrwać ten język, który tyle złego nabroił — zaczął teraz Zięba, który przybył tu z Brdysiakiem w odwiedziny do jednego z owych krewnych. — Przypominacie sobie Brdysiaku przygodę z owym garnkiem. Otóż kochani sąsiedzi znacie moją kobietę. Nie potrzebuję się przed Wami z niej chlubić, sami potraficie jej cnoty ocenić, bo z pewnością tak dawno, jak ze sobą żyjemy nikt na nią się poskarżyć nie może. Pilnuje domu, dzieci, a rzadko ją gdzie zobaczysz.

— Wiemy, kochany sąsiedzie, to jedna, z najpoczcziwszych. Nieraz ją stawiam za wzór mojej Basi — odezwał się gospodarz Bartłomiej Pieprzyk.

— A ty niecnoto jakaś! — odezwał się naraz z tyłu jakiś głos kobiecy. — To jak ja pilnuję, abyś za głęboko w kieliszek nie zaglądał, ustrzegłszy cię już nieraz przed upiciem, ty mnie oczerniasz przed drugimi za to? Więc Katarzyna ci miłsza ode mnie? Poczekaj jeno!

Zatrząśł się Pieprzyk na te słowa, jakby go piorun raził, ale po chwili, przyszedłszy do siebie, spuścił oczy nic nie mówiąc. Byłby może przeprosił żonę, bijąc się w piersi, ale wobec wszystkich to ja-koś nie wypadało.

Wszyscy śmiali się serdecznie z tego zakłopotania pana Bartłomieja.

— Widać z pana Bartłomieja wzorowy małżonek, bo przyznaje żonie słusność.

— Oby wszyscy byli takimi, a z pewnością Pan Bóg błogosławiłby więcej.

W ten i w inny sposób żartowano z pomieszanego pana Bartłomieja, który z pewnością myślał teraz nad tem, co to jeno będzie, gdy przyjdzie do domu. Życzył sobie w duszy, żeby to już było minęło.

— No, no, nie frasujcie się znowu tak

bardzo — zaczęto zewsząd pocieszać Bartłomieja. — Przecież wam znowu Basia w domu głowy nie urwie, jak to czynią cioty, gdy ktoś zdradzi ich harce, jakie w nocy wyprawiają po urwiskach i bagnach.

Bartłomiej zaczął się już obruszać na te docinki.

— Dajcie pokój, sąsiedzi, bo i pewnie Wam kobiety nieraz pantofle pokazują, jak się to mówi — odezwał się.

— No, no, nie gniewajcie się tak bardzo znowu, toć to tylko były żarty, przecież nie możemy wieczyście robić min, jakby nas mory dręczyły w nocy, a teraz kochany Ziębo, opowiadajcie dalej.

— Ano, jak się to rzekło, kochani sąsiedzi — rozpoczął znowu Zięba — żonę moją, która nikomu nie uczyniłaby nic złego...

— Nawet mężowi, bo go nie potrzebuje pilnować — wtrącił znowu ktoś z obecnych, patrząc złośliwie na Bartłomieja, któremu teraz cierpliwości zaczęło brakować.

— Posądziła nieuczciwa Maryna, że trzyma z biesem.

— A to jędza.

— Ona czarownica.

— Wiemy dawno, że ma spółkę z czartem.

— Do wody z nią. Przekonamy się zaraz, czy jest winną lub niewinną.

— Tak, do wody z nią.

I nie czekając dalszego opowiadania Zięby, hurmem udano się w poszukiwanie za Maryną. Ale Maryny nie było nigdzie.

— Ukryła się z pewnością — mawiano. Przeszukano wszystkie kąty, ale Maryny nie znaleziono.

— Przecież chyba w jasny dzień nie wyprawia tańców po wierzbach.

— Widzieliśmy ją niedawno u was Grzelucho — zawołał jeden z obecnych.

— Była, to prawda, ale znikła gdzieś, spostrzegłszy kapłana z Panem Jezusem.

— Widzicie — zaczął teraz Paweł Pączek, obywatel co się zowie, z twarzą podobną do księżyca a nosem, któremu by się jego nazwisko prędzej należało, czerwieniutki jak róża — czyż to nie nowy dowód na to, że Maryna trzyma ze złem? Czemu uciekła? Nie mogła znieść widoku Ciała Chrystusowego. Jużć to musi być prawda, co ludzie o niej powiadają, że ma...

— Tępą głowę — odezwał się Maciej Brdyczka, który dotąd siedział spokojnie. — Sąsiedzi kochani, słyszeliście przecież od naszego czcigodnego proboszcza, że szatan nie ma już teraz mocy nad nami, bo Najświętsza Panna moc jego skruszyła, więc jakże Maryna może mieć spółkę z złem? —

Umilkli wszyscy. Przyznawali Brdyczce widocznie słuszność. — Lecz nacóż uciekła? — zapytał nieśmiało Pączek.

— Bo ma nieczyste sumienie — odparł Brdyczka. — Toć wiecie wszyscy, że to baba, która każdemu potrafi łatkę przypiąć. Przytem jest sprytna i potrafi wyzyskiwać Waszą łatwowierność, kochani sąsiedzi. Tam, gdzie czuje, że jej nie wierzą, nie pójdzie. Wie dobrze, że mogłaby jeszcze oberwać nieźle. Tłucze się tylko po tych domach, gdzie słuchają jej bzdurstw i gdzie ją za to poczęstują wódką. Gdyby to było ode mnie zależało, dawnoby ta złodziejka pokutowała w więzieniu.

— Prawdę mówicie, Brdyczko — rzekł z godnością Zięba. — Wstydzę się doprawdy, że tej jędzy wierzyłem. Wiem, że jej z ócz dobrze nie patrzy, a nieraz mi zginęła to kura to kaczka. Nie ukradł ich nikt inny, jeno ona. Ale wiecie dobrze, kochany sąsiedzie, że ta latawica potrafiła mścić się, a zawsze znalazła takich, którzy jej wierzyli, więc człowiek się bał zrobić jej cokolwiek, żeby się nareszcie sam nie znalazł winnym jakiej spółki z biesem.

— Tak, tak, ale zbliża się godzina obrachunku. Miarka się przebrała, choć nie dziś, to jutro, nie jutro to inną razą wpa-

dnie nam w ręce. Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy, dość długo cierpliwie przyglądał się jej nieprawościom. Dajmy jej zatem na dziś pokój. Ona nam się nie wymknie. Rozejdźmy się spokojnie do domów i dziękujmy Panu Bogu za to, że pozwolił nam przejrzeć.

VIII.

Wiemy z doświadczenia, że i najsilniejsze natury gną się, gdy zajdzie coś nadzwyczajnego. Kropla wytrwałością wydraża skałę, nieubłagana śmierć nie pyta, czyś ty wielki, czy mały, czyś potężny, czyś słaby, czyś uczony, czyś prostaczek, przychodzi z kosą i zmiata ludzi ze świata, jak sierp w czasie żniwa żyto odłącza od korzenia.

Bużański, ten silny, barczysty mężczyzna, zapadł nagle na zdrowiu i to bardzo silnie. Już śmierć wyciągnęła doń swe kościste ramiona, ale Pan Bóg litościwy tą razą zachował go jeszcze dla świata, aby pobłogosławił ojcowską swą ręką córcę swej na drodze szczęścia małżeńskiego. Ludzie nie dowierzali z początku, że z Bużańskim tak źle. Drudzy mawiali na ucho, że to oczywista kara Boża za to, że trzymał z biesem, bo że trzymał ze złem, o tem większość

nieoświeconego ludu była święcie przekonana. Wszędzie, czy w domu, czy na polu, czy w drodze, czy w kościele, wszędzie szeptało sobie na ucho, że Bużańskiego złe opętało tak dalece, że nie może sobie pomóc.

— Czyż to nie widoczna kara Boska — mówił jakiś jegomość o zuchwałej minie. obliczu księżycowem i nosie, na którym odbijały się wszystkie kolory tęczy — wszak Pan Bóg już tu na ziemi karze srogo tych, którzy Jego świętego Imienia nadużywają.

— Oj święta to prawda za przeproszeniem — odparł mu na to drugi, szczupły, niski, o chorobliwym wyrazie twarzy, wpakowawszy przytem do nosa tęgi niuch tabaki. — Czyż to mało mamy przykładów pomsty Bożej na nieszczęśliwym naszym narodzie, za przeproszeniem... Z pewnością Pan Bóg by nas wszystkich tak bardzo nie karał, gdyby nie było coraz więcej zgorszenia, za przeproszeniem... Dawniej ludzie bali się więcej Boga, władze bez miłosierdzia tępiły czarownice i tych, którzy z niemi mieli spółkę, za przeproszeniem... i dlatego im też Pan Bóg błogosławił. Pamiętam, jak to jeszcze przed dwudziestu laty zatopiono pięć czarownic, za przeproszeniem... Dawno już nie miały dobrej sławy w okolicy, za przeproszeniem... ale

nikt z początku niczego im dowieść nie mógł, aż tu nagle pewnego dnia przychodzi, za przeproszeniem..., do jednej z mych dalekich krewnych, była to, niech jej Pan Bóg da wieczny odpoczynek za przeproszeniem... żona brata mego dziadka i opowiada wśród płaczu za przeproszeniem... że jej jedna z tych czarownic dziecko przyroczyła. Wiecie moi kochani, że...

— Waćpanowi pewnie za przeproszeniem lata, choć trochę rychło, przyroczyły rozum — wtrącił znienacka jakiś słuszny obywatel w rogatywce na głowie.

Wszyscy się serdecznie rozśmiali na ten żart, na który jednak nieźle się zapezrył nasz nieborak.

— Co asan zacz, za przeproszeniem... że śmiesz się wtrącać do rozmowy starszych, którzy z niejednego pieca chleb jadali. Asan pewnie jeszcze w pieluchach smacznie sypiałeś przy matczynych piosenkach, za przeproszeniem... gdy ja życie moje za ojczyznę narażałem na niebezpieczeństwo za przeproszeniem... Raz jeszcze powtarzam, wara gołowąsom za przeproszeniem do rozmowy doświadczonych obywateli.

— Niech waćpan nie oburza się tak zaraz na mnie — odparł na to obywatel w ro-

gatywce. — Kto zaś widział tak się zaraz sierdzić. Niech mnie Pan Bóg uchwowa, abym chciał powadze waćpana jako starej, doświadczonej osoby ubliżyć, muszę się jednak zastrzedz, żeśmy właściwie obaj gołowasami. Toć na lichej glebie trawa nie urośnie, a i waćpan z pewnością podobnie jak i ja nie wie, jak to się nosi wąsik pod nosem.

Znowu powstał śmiech, ale tą razą starzec miny nie nasrożył. Spoglądał co prawda, jak się to mówi trochę z podełba na naszego młodego bohatera ale nic już nie mówił.

— Waćpanie! nie skończyłem jeszcze — mówił młodszy obywatel dalej. — Zawiązaliście tu opowiadanie, któremu i ja chętnie bym się przysłuchiwał, ale dalibóg nie mogę. Czy to ustawicznie nie słyszycie z ust czcigodnego naszego staruszka-kapłana, że Pan Jezus męką Swą Przenajświętszą moc czartowską skruszył, że więc złe nie ma mocy nad ludźmi? Dzięki Bogu że nadchodzą jaśniejsze czasy, gdzie nastaje prawdziwy duch wiary, i gdzie zaczyna się szerzyć oświata w duchu chrześcijańskim.

— Słuchajcie waćpanowie tego smyka za przeproszeniem. Nam starym, w doświadczeniach życia osiwiąłym obywatelom, chce

ten goło... no... za przeproszeniem... chciałem powiedzieć, ten żółtodziób... za przeproszeniem smalone duby prawić. Gdzieżes to nabył tego rozumu, mospanku?

— Za przeproszeniem waćpana, w kościele, gdzie to powtarzam, nauczają kapłani, prawdziwi słudzy Boży, że chyba tylko ten ze złem przestaje, kto w czarownicy wierzy, bo wtedy chyba nie chce słuchać kapłanów, których słuchać powinien.

— A... a... a... za przeproszeniem mospanku, to niby ja, za przeproszeniem... jestem pewnie jakim jawnogrzesznikiem, bo wierzę w biesa... Waćpanowie, czyż nie natrzemy, za przeproszeniem, uszu temu mędrkowi?

— Dajże waćpan pokój — wtrącił jakiś poważny mieszczanin Kiskowski. — Za co go to chcecie turbować? Tóćże wam prawdę mówi!

— Ale bluźni, bo w biesa nie wierzy — bronił się starzec.

— Boby musiał mieć — za przeproszeniem... biesa w głowie, gdyby miał w niego wierzyć.

To ubodło do żywego naszego obywatela starego, tem więcej, że nadużyto jego ulubionego przysłowia. Nic na to nie

odpowiedziawszy, spojrział gniewnie po obecnych i ruszył dalej. Poprzednio zażywszy tabaki kichnął potężnie.

— Boże daj wam jak najdłuższe jeszcze zdrowie — zawołali wszyscy wesoło jakby jednym głosem za gniewliwym starym — a nie wiercie w biesa, bo się Pan Bóg może pogniewać na was.

Po tem zajściu i reszta obecnych nie miała ochoty dłużej pozostać na miejscu, więc podzieliwszy się na drobne grupy porozchodziła się zwolna do domu, gwarząc po drodze o chorobie Bużańskiego.

Z Bużańskim tymczasem stawało się coraz gorzej. Po owem nieszczęśliwym zajściu na trzęsawisku nabawił się gorączki, która wzmagała się z każdym dniem. Czuł i słyszał przytem niejedno, co mu było nieprzychylne, wprost wrogie; wiedział, że nie wymarła wśród ludzi wiara w gusła i zabobony, że większość obywatelstwa i lud z okolicy wie, że wpadł na trzęsawisko i wierzy mocno, że to kara Boska za to, że nie wierzył w biesa. Pan Maciej opowiadał wszystkim na ucho, że Bużański jest poczciwym człowiekiem, że go ceni jako swego, można powiedzieć... najlepszego przyjaciela, ale nie powinien był się naśmiewać z tego, w co wszyscy tak święcie wierzą.

— Waćpanowi, panie Macieju, zdałoby się właściwie najlepiej przyoblec się w suknie niewieście — powiedział gadatliwemu panu Maciejowi pan Kosmowski. — Waćpan mienisz się być jego prawdziwym przyjacielem a rozdmuchujesz coraz to więcej iskierkę, która może Bużańskiego życia pozbawić.

— Toć panie współobywatelu Kiszkowski, można powiedzieć, całe miasto i okolica o tem mówi — bronił się pan Maciej.

— Tak, tak, można powiedzieć — odparł mu na to zgryźliwie pan Kosmowski — nie wypada poważanemu obywatelowi wszystkich babskich plotek powtarzać jak za panią matką pacierz.

— Waćpan obrażasz można powiedzieć swego starego pocziwego pana Macieja, który Bużańskiemu jak najlepiej życzy.

— Życzy czy nie życzy, waćpan powinien języka swego wstrzemięźliwiej używać, bo cóż mają ludzie na to powiedzieć, jeśli tak zacny obywatel roznosi plotki, że Bużańskiego lichy ściągnęło na trzęsawiska. Toć waćpan chodzi nieledwie codziennie do kościoła, więc powinien wiedzieć, że nie zły duch nad ludźmi, ale ludzie nad złym duchem mają moc, jeśli się Boga boją.

— Już to waszmość potrafisz, można po-

wiedzieć, przemówić do człowieka nie przy-
mierzając, jak sam jegomość w kościele na
kazałnicy — odparł rozczulony pan Maciej.
— Od tej chwili przestanę plotek tak mi Pa-
nie Boże, można powiedzieć, dopomóż. A te-
raz udajmy się do Bużalskiego. Toć Pan
Jezus nakazuje chorych nawiedzać a można
powiedzieć, że Bużalski jest bardzo chory,
bo i podobno już od rzeczy gada.

I obaj obywatele udali się do chorego
Bużalskiego, który rzeczywiście nie słyszał
ani nie widział, co się naokół niego dzieje.
Majaczył o niestworzonych rzeczach. Wi-
dział się w karczmie obok pana Macieja,
narzekając, że go wtedy nie usłuchał i wraz
z nim nie podążył ku domowi.

— Waszmości! — rzekł do Bużalskiego
rozczulony pan Maciej — toć jak mi, można
powiedzieć, Bóg miły, dawno o to na was nie
mam żalu. A i Pan Bóg litościwy, można
powiedzieć, zlituje się nad wami i pozwoli
Waszmości odzyskać zdrowie ku pociesze
wszystkich.

Mimo powagi położenia i boleści, jaka
się malowała na obliczu wszystkich na wi-
dok dogorywającego Bużalskiego, wszyscy
mimowoli uśmiechnęli się na te wylewy po-
czciwości pana Macieja.

— Bóg mi świadkiem, — ciągnął pan Ma-

ciej dalej — żem go szanował jak własnego brata. Zaczny to obywatel. Czy do wypitki, czy wybitki, zawsze, można powiedzieć, był pierwszy.

— Panie majstrze, nie godzi się teraz przypominać takich wydarzeń. Należałoby raczej pomodlić się, aby mu Pan Bóg pozwolił odzyskać zdrowie.

Słowa te pochodziły z tyłu od pana Michała, który się tu znajdował, zanim pan Maciej z Kosmowskim zawitali do mieszkania Bużańskiego. Żaden z nich go nie zauważył. Pan Michał od chwili, jak Bużański zachorował, nie znajdował spokoju przy pracy. Coś go wieczyście ciągnęło do tego domu. Pan Maciej to zauważył i dziwił się niemało zniechęceniu tak pilnego przedtem i przykładowego czeladnika swego. Michał wśród pracy niejednokrotnie nagle zaprzestawał zajęcia i wpatrywał się nieruchomie w świat Boży. Pan Maciej, który Michała kochał jak swego własnego syna bardzo się niepokoił tym stanem swego ulubieńca. Wypytywał się go jak najtroskliwiej bezustannie, co mu brakuje, ale Michał dawał mu zawsze wymijające odpowiedzi a wkońcu nalegania Macieja zaczęły go nużyć i gniewać. — Lepiej pojmowała ten stan pani majstrowa. I jej z początku za-

chowanie się Michała dawało niejedno do myślenia, ale kobieta zawsze domyślniejsza jest od mężczyzny. Wszakże matka najpierwej pozna, co dziecku dolega i dziecko po największej części wprzódzy zwierzy się z tem, co je boli, matce, jak ojcu. I tu tak było. Michał poważał i szanował Macieja, majstra swego, ale majstrową swą szanował, jakby matkę swą, której już nie posiadał. Była też to kobieta godna tego szacunku. Słodka w obejściu z mężem, nigdy swarów z nim nie wszczyniała, gdy Maciej, co mu się niejednokrotnie zdarzyło, za głęboko zajrzał w kieliszek i w różowym humorze przyszedłszy do domu rozczulał się jak dziecko. Maciej poważał żonę i bał się jej zarazem. Poczciwy charakterem miał swe słabe strony, na które mu żona niejednokrotnie zwracała uwagę.

— Żona moja — mawiał niejednokrotnie w gronie przyjaciół — to anioł, można powiedzieć, w ludzkim ciele.

— Oj to prawda, panie Macieju, już to macie prawdziwe szczęście na tym padole płaczu. Innaby wam z pewnością nieraz na grzbiecie nie zbyt delikatnie kości li czyła.

Pan Maciej sierzdził się bardzo na te docinki. Nie wiedział częstokroć, co na nie

odpowiedzieć, a to często się przytrafiło, że w ten sposób z niego zażartowano.

Razu pewnego, gdy Michał zamyślony spoglądał na firniament niebieski, przystąpiła do niego pani Maciejowa i bez ogródki rzekła do niego:

— Michale, wiem co wam dolega. Czyż zresztą się temu dziwić można? Toć już taki porządek na świecie, że niedobrze być człowiekowi samemu. I z wami jest coś podobnego. Ciekawam tylko, czyj buziak tak bardzo wam zasmakował?

Michał w pierwszej chwili był jak oduurzony. Nie był przygotowany na to. To się rumienił, to bladł naprzemian. Nareszcie wyjąknął żałośliwym głosem:

— Pani majstrowa! Tak jest. Pokochałem się w dziewczynie, która mi jest wzajemną, ale jej nie posiedę. Jest między nami zaporą niezwalczona.

— Rodzice spodziewają się wydać ją za kogoś wyższego, nieprawda?

Michałowi zdawało się, że Maciejowa wie już o wszystkim, dlatego postanowił z niczem się nie ukrywać.

— Tak majstrowa, ona jest córką chorującego majstra szewskiego Bużańskiego. Pokochałem Basię całą siłą mej duszy i ona gotowa największe przeciwności tego świata

dzielić wraz ze mną wśród doczesnej pielgrzymki, ale...

— Młody wójt ze Sławna stoi na przeszkodzie, krewniak burnistrza naszego, nieprawda?

— O majstrowa kochana! Jak Wy wszystko wiecie. Tak jest.

— Prawda, są tu wielkie trudności, ale z pomocą Bożą je przełamanie. Toć rodzice z pewnością nie odmówią córki Waćpanu, gdy i ja i mąż mój wydany wam jak najlepsze świadectwo.

— Majstrowo najlepsza! Ja wam wieczyście za to będę wdzięcznym.

— Nie potrzeba. Uczyni się tylko obowiązek chrześcijański wobec tego, który na to pod każdym względem zasługuje. Prędzej jednak z Bużańskim nie pomówię, dopóki on, ojciec jej, nie przyjdzie do zdrowia. Wszak zgoda?

Michał w miejsce odpowiedzi uścisnął i ucałował z wdzięczności ręce majstrowej i następnie szybko się wydalił z domu.

Podążył, jak się przekonujemy do Bużańskich. Uczęszczał tam już od dość dawnego czasu. Z początku nikt na to nie zważał, wiedzieli tylko o tem Basia i Michał, no i wtajemniczona teraz w sprawę miłości obojga młodych ludzi pani Maciejowa. Nie

mogło być dla Michała wyborniejszej sposobności widywania się z Basią nad tę. I Michał bolał co prawda nad nieszczęściem Bużańskiego, bolał tem więcej, że jego Basia niebezpieczną chorobą ojca i wstydem, na jaki według jej mniemania wszyscy się narazili, martwiła się tak bardzo, że stała się nieczułą na całe swe otoczenie nawet na błagalne i miłosne spojrzenia Michała. Powoli zaozęła te odwiedziny Michała podejrzewać i Matka Basi, ponieważ Michał częstokroć wśród godzin pracy przychodził. Czuła matka, raz powziąwszy podejrzenie, śledziła i dalsze zachowanie się Michała. Michał nie domyślając się niczego, nie zauważył wcale, jak pani Bużańska z ukosa spoglądała na niego i że kilkakrotnie już spostrzegła słodkie oczka pana Michała ku swej Baśce. To ją korciło. Wiedziała teraz bowiem na pewno, że Michał przychodzi pielęgnować jej męża po większej części dla Basi, którą pokochał,

Kochająca matka postanowiła temu zapobiedz. Gdy więc Michał pewnego razu nadszedł jak zwykle, matka w poważny sposób w obecności jego odwołała córkę na stronę. Michała jednak to nie zastanowiło, nie powziął z tego najmniejszego podejrzenia.

— Basiu — zaczęła matka — powiedzże mi otwarcie, poco tu Michał tak często przybywa.

— Aby pomódz ojca pielegnować — odrzekła Basia z pewnym niepokojem w głosie.

— Czy tylko dlatego?

— Nie wiem, czyby miał do tego inny jeszcze jaki powód, ale z pewnością jedynie dlatego, bo bardzo ojca szanował — odparła córka a głos zdradzał, że zupełną prawdę lęka się wyjawić.

— Nieprawda! — odparła matka. — Gdyby rzeczywiście jedynie po to tu przychodził, aby przysłużyć się nam, to z pewnością nie opuszczałby pracy, boć przecież to nie ojciec jego, aby uwierzyć, że choroba twego ojca tak bardzo go dotknęła.

— Matko! — wybuchła teraz córka z całą siłą długo tajonej boleści. — Tak jest, on mnie sobie upatrzył.

— A ty mu sprzyjasz! — odparła matka z niezwykłym spokojem w głosie. — Czemuś mi o tem prędzej nie wspomniała?

— Matuchno! nie chciałam ci sprawiać przykrości, bo czułam że tybyś mnie wraz z ojcem chętnie widziała panią wójtową. A ja tego wójta nie chcę... nie chcę... Ja kocham Michała nad życie i wiem, że i on równą miłością mi odpłaca.

— Czyście już sobie miłość wieczystą zaprzysięgli? — badała dalej zaniepokojona matka.

— Tak, matuchno! i albo jego poślubię, albo żadnego więcej.

— Może tymczasem innych myśli nabędziesz. Młode główki zwykle się z początku zbyt zapalają i płomień im silniej wybucha, tem prędzej ugasa.

— Matuchno! kiedy ja już przed rokiem zaprzysięgłam miłość Michałowi, a dotąd czuję, że ta miłość zamiast przygasać wzmożła się coraz więcej. Wszak chcąc wam, kochani rodzice, oszczędzić przykrości, usiłowałam tę miłość w sobie przytłumić, bo wiedziałam, jak bardzo sprzyjacie wójtowi. Chciałam być wam posłuszną.

— Basiu moja kochana, widać takie przeznaczenie Boskie. I ja podobnie jak i ojciec twój bylibyśmy cię chętnie chcieli powitać panią wójtową. Ale władza nasza rodzicielska nie sięga tak daleko, abyśmy ci mieli przeszkadzać. Idź za prądem serca twego, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Skoro tylko chory ojciec twój powróci jako tako do zdrowia, starać się go będę przekonać, żeby ci także w wykonaniu twego przedsięwzięcia nie przeszkadzał.

Ostatnie słowa wymówiła pani Bużańska z odcieniem gorzkości w głosie. Miłujące serce córki nie mogło przenieść na siebie, aby się matka na nią gniewała. Upadłszy jej zatem do kolan, poczęła rozpaczliwym głosem błagać ją, aby jej w ten sposób od siebie nie oddalała.

— Gotowam ponieść i tę ofiarę i wyrzec się miłości Michała, byleś ty matko nie uczuwała do mnie żalu. Ale wójta nie pojmem za męża za wszystkie skarby świata całego.

Matka rozczulona takim przywiązaniem jedynaczki, wzięła ją w ramiona przytulając do piersi, wyrzekła wśród łez.

— Jesteś wzorową córką. Niech ci Pan Bóg błogosławi.

Po tych słowach powstawszy zwróciła się do pokoju Bużańskiego, gdzie tymczasem Michał, którego dochodził ten i ów wykrzyk Basi, doznawał okropnego wzburzenia. Z wykrzykników domyślił się, że tu o niego chodziło, że pani Bużańska nic nie chce wiedzieć o tem, aby sobie Basia miała jego obrać za męża. Drżał z gniewu i oburzenia, że on ma być gorszym od wójta, którego nic więcej nie zdołało nad to, że miał pieniądze.

Gdy jednak pani Bużańska życzyliwie

mu rzuciła spojrzenie, od razu pierzchły wszelkie złe myśli. Domyślił się z tego jednego spojrzenia, że pani Bużalska chętnie go ujrzy swym zięciem. Odpowiedział na to wzrokiem pełnym wdzięczności. Na coś innego zdobyć się nie mógł na razie. Tem gorliwiej począł teraz odwiedzać Bużałskich, przyjmowany zawsze z wszelką serdecznością. Przy troskliwej opiece Basi i Michała, którzy nie kryli się już z swem wzajemnem przywiązaniem, począł Bużałski powoli przychodzić do zdrowia ku nieopisanej radości całej rodziny i Michała, który spodziewał się, że gdy pani Bużałska poprze jego zamiary, Basia musi należeć do niego.

IX.

W mieście Kiskowie dziś tłumno, gwarno. Od samego rana z całej okolicy a i z dalszych stron nadjeżdżają bryczki i furmanki, a z nich wysiadają wielcy i mali, szlachta i mieszczenie. Widać wszędzie jakąś gorączkowość, na twarzach wszystkich maluje się jakiś tajemniczy niepokój. Cóż to za powód tego niezwykłego zjazdu? Toć to ani święto, ani odpust, ani też jarmark, a jednak ludzie, rzecz można, liczniej się zgromadzili, jak na nadzwyczajną jaką uroczystość.

Jestże też powód tego. Dziś mają sądzić Bużańskiego, wpływowego obywatela z Kiszkowa, który zamierzał pobratać się z wójtem ze Sławna, spokrewnionym ze samym burmistrzem Kiszkowskim.

Burmistrze niejednych miast w dawniejszej Polsce za czasów Jagiellonów a i królów obieralnych jeszcze mieli wielkie przywileje. Byli niejednokrotnie panami życia i śmierci. Gdy burmistrz wraz z radą miejską wydali wyrok śmierci, nie było apelacyi i do króla samego. Podobnie było i w Kiszkanie i dlatego burmistrz Kiszkowski stał wszędzie w wielkiem poważaniu, znano jego potęgę i bano się go, i za łaskę sobie poczytywał każdy, gdy burmistrz Kiszkowski raczył się tak dalece poniżyć i otoczyć kogo swą przyjaźnią burmistrzowską. Dlatego Bużańskiego tem więcej poważano, że wójt ze Sławna, krewny burmistrza, spoglądał miłosnem okiem na córkę Bużańskiego, który, gdyby Basia była wójtową została, byłby wszedł w bliższe stosunki z wszechwładnym burmistrzem.

Tego to Bużańskiego sprawę miano dzisiaj rozpatrywać w radzie miejskiej. Naokół ratusza zgromadziła się nieprzejrzana moc ludu. Wszyscy ciekawi, co też się z Bużańskim stanie. Radni w pełnej liczbie

zebrali się na ratuszu. Burmistrz ze złotym łańcuchem na szyi, jako godłem powagi urzędowej, zajął miejsce w środku wielkiej sali ratuszowej na wywyższonem miejscu, otoczonem naokół kwiatem obywatelstwa Kiskowskiego, radnymi miasta. Na stole stał wielki krzyż srebrny a z obu stron świece, co na zebranych sprawiało uroczyste wrażenie. Rozejrzawszy się pomiędzy nimi, spotykamy znajomą nam bardzo twarz p. Kosmowskiego i p. Macieja. Tuż poza nimi widzimy kilka krzeseł, zajętych przez szlachtę z okolicy, pomiędzy nimi nader poważne oblicze sędziwego pasterza parafii.

Twarze wszystkich powagą nastrojone, bo dawno już nie było wypadku, aby sądzono tak wpływowego, tak poważanego do niedawna jeszcze obywatela, który zaliczał się także do świetnej rady miasta, i który miał się skuzynować z burmistrzem samym.

Otwierają się nagle drzwi boczne i dwoje sług miejskich wprowadza do sali Bużańskiego. Nastąpiło ogólne poruszenie. Zewsząd słyhać przytłumione głosy. Na obliczu wszystkich poczęła się przebijać pewna litość dla Bużańskiego.

— Okropnie się ten człowiek zmienił od

ostatniej choroby — szepnął pan Garczyński do księdza proboszcza. — Jak to choroba może przygnębić i najsilniejsze natury.

— Mnie się zdaje, — odparł na to ksiądz proboszcz — że mniej cierpienia cielesne, ile moralne przypawiły go o tę straszną chorobę, której ślady dziś jeszcze nie znikły z całej postawy Bużalskiego. Co prawa, choroba u Bużalskiego wzięła swój początek z chwilą, gdy go wydobyto z trzęsawiska, z którego niejako Opatrzność w cudowny sposób go wyratowała. Bużalski popadł w febrę, którą jednak tak silne natury wnet przezwyciężają. Tymczasem było inaczej, stan jego pogarszał się z dniem każdym, że mnie niejednokrotnie wzywano do niego z Panem Jezusem. Chory odchodził od zmysłów, majaczył o niestworzonych rzeczach, które obracały się najwięcej o jego nieszczęsny wypadek.

— Jak to człowiek czemś podobnem może sobie nabić do tego stopnia głowę? — zauważył pan Garczyński.

— Zależy to od okoliczności. Wina to po większej części smutnych naszych czasów. Toć każdy rozsądny człowiek, który szczerze w Boga wierzy i ma cokolwiek oświaty, przestaje wierzyć w zabobony. Ale większość ludu nieoświeconego w ka-

zdem nadzwyczajnem wydarzeniu dopatruje się kary Boskiej i z tego wysnuwa wniosek, że ten dopust Boży to znak widzialny, aby każdego człowieka, którego dotknie, potępić, i uważać go za takiego, który ma spółkę ze złem. Bużalski wie o tem dobrze. Wypadek nieszczęśliwy powalił go wprawdzie na łożę boleści, ale myśl, że ludzie tak jego jak i rodzinę całą palcem wytykać będą, jako trzymających z szatanem, dręczyła go bezustannie i pogorszyła jego chorobę, którą wkońcu za pomocą Bożą zwalczyła jego silna natura.

— Prawdę mówi Jegomość. Smutne to zaprawdę stosunki, tem smutniejsze, że król który szczerze pragnie dobra poddanych stara się, aby podnieść oświatę w kraju a z nią powoli przyczyniać się wespół z Kościołem katolickim do wykorzenienia tych chorobliwych przesądów religijnych, napotyka ze wsząd na trudności.

I pomiędzy radnymi odzywały się rozmaite głosy.

— Poczciwy pan Bużalski — mówił pan Maciej do pana Kosmowskiego — wygląda, można powiedzieć, jak chodzący kościotrup. Że jego też wtedy, można powiedzieć, lichy zaprowadzić musiało na trzęsawiska.

— Oby Bóg dozwolił przejrzeć burmistrzowi i przeciwnikom Bużalskiego, aby

go nie potępiali. Oby tylko się udało potępić tę jędzę, tę Marynę, która w sprawie Bużańskiego ma stawać za świadka. Ufajmy w Bogu, że się to powiedzie, bo udało mi się wpłynąć na radnych, że zawezwano na świadków Brdysiaka i Ziębę, a i ksiądz proboszcz przemówi za Bużańskim.

— Toć Pan Bóg, można powiedzieć, nie rychliwy, ale sprawiedliwy, każdemu odda za swoje — odpowiedział pan Maciej.

Wtem podnosi się z siedzenia pan burmistrz i potoczywszy oczyma po zebranych, tak mówić poczyną:

— Wysoka Szlachto i Szanowni Panie! Dziś oto wypada nam sądzić tego tu obecnego pana Bużańskiego, obywatela sławnego miasta naszego. Z przykrością wielką przychodzi nam wyrokować w sprawie tak przedtem poważanego, zacnego obywatela, którego miałem niejednokrotnie szczęście witać w gronie przedstawicieli miejskich. Sprawiedliwość jednak wymaga od wysokiego naszego urzędu, ażeby czuwać nad dobrą sławą powierzonego nam zarządu miasta, nad spokojem mieszkańców jego. Nie potrzebuję pewnie szczegółowo opowiadać świetnemu zgromadzeniu dowodów winy oskarżonego, bo te ogólnie są znane. Nadmienię tylko, że takowe są bardzo obciąża-

jące. Oskarżenie zarzuca obwinionemu, że miał spółkę z nieczystymi duchami, które pomnażały jego dobrobyt, gdyż niepodobna przypuścić, aby takowy powstał wskutek gorliwej pracy i oszczędności. Gdyby tak nie było, nie byłby się z pewnością dostał na trzęsawiska, boć człowiek bogobojny tam się nie dostanie. Złe jeno mogło go tam zaprowadzić. Zresztą bliższe szczegóły opowie nam tu świadek, Maryna Kwaśna, która zna Bużalskich bardzo dobrze, i pragnie zeznania swoje stwierdzić przysięgą.

Po chwili drzwi na nowo się otworzyły i słudzy miejscy wprowadzili do sali znaną wszystkim Czarną Marynę.

— Ja nie pojmuję, jak można opierać dowody oskarżenia na zeznaniach takiego gadu, jakim jest ta jędza? — szepnął z oburzeniem do Macieja pan Kosmowski.

— A jak jej to z ócz okrutnie patrzy. Jeśli kto, to chyba to lichy trzyma spółkę z czartem.

Maryna zbliżyła się z całą bezczelnością do stołu.

— Tyżeś to Maryna Kwaśna.

— Tak się nazywam z rodziców, a ludzie mnie nazywają Czarną Maryną, choć nie wiem, jak do tej nazwy przyszłam. Toć pan burmistrz sam przyzna, że na czarną nie wyglądam.

— Ale, można powiedzieć, żeś babo czar-nemu się zaprzedała na to, aby ludziom na ciele i duszy szkodzić — wtrącił półgłosem z oburzenia pan Maciej.

Zebrani mimo powagi chwili uśmiech-nęli się mimowoli na ten koncept pana Macieja, który zawstydzony niepowściągli-wością języka spuścił oczy i ukrył głowę poza plecami pana Kosmowskiego.

— Otóż Maryno Kwaśna — ciągnął bur-mistrz dalej — wezwaliśmy cię tu, abys zdała świadectwo prawdzie. Na ten oto krzyż z wizerunkiem Zbawiciela, który wi-dzisz przed sobą, zaklinam cię, abys sumien-nie wyznała to, co wiesz o Bużańskim. Pa-miętaj, że zeznanie twoje poprzeć musisz przysięgą, a biada ci, jeśli krzywoprzysię-żesz. Sprawiedliwość Boża rychlej czy pó-źniej dosięgnie cię!

— Panie burmistrzu! co opowiem, święta to prawda i na to gotowam poprziśiądz.

Na te słowa znów zebrani się poru-szyli, a dokoła rozległy się szmery.

— Jędza ta chyba z piekła rodem — za-uważył obywatel Kosmowski. — Przecież nie podobna dopuścić, ażeby znając Bużańskiego jako zanego obywatela, pozwolić tej ko-biecie na to, aby wśród tak dostojnego zgromadzenia czyniła go współnikiem czarta

i to poprzysięgała. Panie burmistrzu! — zawołał teraz głosem donośnym. — Obecny tu pan Bużalski jest moim serdecznym przyjacielem, znamy się i obcujemy ze sobą od najmniejszej młodości. Dlatego odwołując się do całego świetnego zgromadzenia dzisiejszego, usilnie proszę i błagam, aby nie dopuścić tej kobiety do jakichkolwiek zeznań. Już naprzód poprzysiędz mogę, że to, co przez usta jej przejdzie, jest nikczemnym fałszem i wymysłem grzesznego jej umysłu i serca. Maryna Kwaśna znana jest całej okolicy Kiszkowa jako kobieta bez czci i wiary, dla której nic nie jest świętem, która dla kieliszka wódki gotowa dopuścić się najkarygodniejszego występku. Obecny na zebraniu czcigodny nasz pasterz niejednokrotnie napiętnował gorszące jej życie, zabronił nawet obcować z nią, nakazał stronić od niej jak od zapowietrzonej i na takiej to kobiety zeznaniach ma polegać winą Bużalskiego? Aby udowodnić tem lepiej to, co powiedziałem, wezwałem na świadków przeciw Marynie dwóch gospodarzy z jej wsi rodzinnej. Oni najlepiej poświadczą, co to za niecnota.

Mowa Kosmowskiego wywarła potężne wrażenie na zebranych. Wszyscy wzrokiem zdawali się niejako składać mu uznanie za

to, że nie dopuścił do zgorszenia publicznego, które uwłaczałoby powadze miasta.

Jeden tylko z wszystkich nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Tym był sam burmistrz. Nie wiadomo, z jakich przyczyn, dość, że pragnął, aby Bużańskiego potępić i on to najwięcej się przyczynił do tego, że Marynę sprowadzono do ratusza, aby stanęła przeciw Bużańskiemu za świadka. Być może, że wójt ze Sławna miarkował coś, iż matka Basi dała mu niejako do poznania, że córka jej nie życzy go sobie za męża, postanowił więc wszechwładnego burmistrza podburzyć na jej ojca. Burmistrz widząc jednak, jakie wrażenie sprawiła mowa Kosmowskiego, zamilkł.

Tymczasem zabrał głos osiwiślały ksiądz proboszcz i tak przemówił do zgromadzenia:

— Obywatel a radny sławnego miasta naszego pan Kosmowski, wezwał mnie niejako, abym mocą swego kapłańskiego urzędu zdał świadectwo o Marynie Kwaśnej. Otóż czynię to z prawdziwą ochotą, tem chętniej, ponieważ i bez tego wezwania pragnąłem tu przemówić. Maryna Kwaśna jest to prawdziwy wyrzutek społeczeństwa ludzkiego, jest to prawdziwie parszywa owieczka w mojej parafii, która gorszącem swem życiem

i niepowściągliwym językiem sieje niezgodę i rozdwojenie w rodzinach. Pragnąłem szczerze, aby ta kobieta weszła w siebie, groziłem jej sądem Boga spawiedliwego, ale na próżno. Ona to wywołała tę gorszącą burdę podczas odpustu w Kiszkuwie, gdzie o mało krew się nie polała. Ona ta w złościwości serca swego podszczuwa jedne osoby na drugie, jedynie dlatego, aby się pomścić, że niejednokrotnie przydybawszy ją przy kradzieży, dały jej kijem perzadną naukę. Podobnie ma się rzecz z obywatelem Bużańskim. I on zmuszony był ogrzmocić plecy tej niecnej kobiety za kradzież. Zaprawdę! kobieta, która Boga się nie boi i publiczne daje zgorszenie, zasługuje chyba na to, aby uczynić ją na zawsze nieszkodliwą.

Namaszczone słowa staruszka kapłana nie pozostały bez skutku. Nadchodziła chwila obrachunku dla Czarnej Maryny.

— Sprowadźcie tu gospodarza Ziębę — zawołał burmistrz, zwracając się do sług miejskich.

Po małej chwili ukazał się Zięba blady i zmieszany. Nigdy się jeszcze nie widział wśród tak dostojnego zgromadzenia i to mu odbierało wszelką śmiałość.

— Zawezwaliśmy was, gospodarzu Zie-

bo, abyście zdali świadectwo w sprawie obecnej o Marynie Kwaśnej.

Tu Zięba zaczął opowiadać, jak Maryna posądzała Bużalskiego, że ma inkluzę, który mu skóry dostarcza na buty, jak wskutek tego Bużalscy wzrosli w dobrobyt, bo uczciwym sposobem nie byliby się mogli tak zbożać. Opowiadał dalej na jaki szatański wpadła pomysł, aby się zemścić na jego żonie, która nikomu nic złego nie uczyniła. Tu opowiedział wypadek z garnkiem, który chciała Ziębowa zakupić od Brdysiaków i który był przyczyną, że ludzie zaczęli posądzać Ziębowa o udział z czarownicami.

— To okropność — wtrącił Kosmowski.

— To szatan, można powiedzieć, w ludzkim ciele, wysłannica z piekła — gorszył się pan Maciej.

— Cóż wy na to, Maryno Kwaśna — odezwał się teraz burmistrz.

Maryna stała blada i drżąca jak trup. Wyłupiastemi oczyma spoglądała na wszystkie strony. Chciała coś przemówić, ale język wypowiadał jej posłuszeństwo, bełkotała tylko niezrozumiałe wyrazy.

— To nam wystarczy. Ziębo, możecie odejść. Dopelniała się miara nieprawości Maryny Kwaśnej. Dziś jeszcze sprawiedli-

wości stanie się zadość. Wyprowadzić ją. Niech pozostanie w więzieniu, dopóki wyrok nie zapadnie.

Śludzy pochwycili Marynę i wyprowadzili ją z sali. Nie opierała się, bo opór jej był złamany.

— Świetne zgromadzenie! — zaczął teraz burmistrz uroczystym głosem. — Wiemy teraz dosyć. Niewinność obywatela Bużańskiego ukazała się w jak najjaskrawszem świetle. Niech ja będę pierwszym, który mu dłoń uścisnę i wyrażę mu radość, że niewinność jego wyszła na jaw.

Wszyscy jak na dany znak powstali z krzeseł i składali tak bardzo doświadczonemu mężowi serdecznym uściskiem ręki życzenia. Pan Maciej aż się popłakał z radości.

— Toć ja — mówił — z duszy przekonany byłem, że Waszmość jest niewinny. Kochałem Waszmości jak własnego brata i zawsze modliłem się, aby Bóg litościwy raczył Mu powrócić zdrowie, i można powiedzieć, szczęście jak najrychlej.

Ludzie na dworze tymczasem z niecierpliwością i niepokojem oczekiwali, co się stanie z Bużańskim. Nieoświecony tłum miał tak święte przekonanie o winie Bużańskiego, że ani chwilę nie wątpił, iż zostanie

skazany. Tu i owdzie tylko rozsądniejsze odzywały się głosy.

— Szkoda Bużały, dobry to był majster. Wszyscyśmy go poważali. Że też to lichy sprowadzić go musiało na trzęsawisko — mówił sędziwy pewien mężczyzna o poważnym wyrazie twarzy z okolicy Kiskowa.

— Święta to już prawda, że kogo Pan Bóg pragnie doświadczyć, na tego zsyla krzyże. I na Bużańskim zdaje się sprawdzać to przysłowie. Ja nie wierzę, aby on z złem trzymał — odpowiedział towarzysz pierwszego.

— I ja prawie tak samo myślę. Ale sąsiedzie kochany, w jakiby sposób Bużała dostał się na trzęsawiska i tam nie utonął.

— Ot! — popił sobie nieboże i w takim stanie, nie wiedząc co czyni, zbiegł z drogi. Kieliszek nieszczęsny jest owem złem, które sprowadza nieszczęście na ludzi.

— Jużć to prawda — odpowiedział na to pierwszy — ale ludzie powiadają, że Bużała w biesy nie wierzy i przechodząc koło trzęsawiska nie mówił pacierza, a i pono czart, który wyprawiał tej nocy harce z czarownicami, miał nad nim dlatego moc tej nocy.

— A jużć, że pacierza nie mówił — wtrącił na to jakiś trzeci obywatel, mężczy-

zna barczysty o czerwonym obliczu, sumiastym wąsie, oczach piwnych a nosie, na którym spostrzedz było można wszystkie barwy tęczy — a jakżeby zresztą poczciwy chrześcijanin mógł się dostać na takie niedostępne miejsca.

— I wy się tam z pewnością dostaniecie kiedyś, jeśli jako poczciwy chrześcijanin zalewać będziecie pałę przekłętą gorzałą — odparł na to energicznie towarzysz pierwszego.

Zaczeptionemu oczy się zaiskrzyły od gniewu. Z miny poznać było, że nie lubił żartować na słowa. Namacalnie potrafił bronić się naprzeciw podobnym zaczepkom. Kto wie, jakiby sprawa w tym przypadku była koniec wzięła, gdyby nagle nie był rozległ się w powietrzu głos zdumienia ze wszystkich stron.

Cóż to było?

Otóż pan Bużański, otoczony gronem swych dawiejszych przyjaciół ukazał się przed ratuszem. Na bladej jego twarzy spostrzedz było można bardzo dobitnie ślady przebytej ciężkiej choroby. Ale z drugiej strony zauważano ze wzruszeniem łzy, płynące z pod powiek głowy jego spuszczonej.

To były łzy radości, że Pan Bóg

w tak chwalebny sposób wykazał niewinność jego przed światem całym.

Tuż obok niego postępował nieodstępny niejako pan Maciej. Po twarzy pocziwca ciurkiem spływały łzy, wydobywające się mimowoli z ocz jego. Radował się jak dziecko, sam nie wiedział dlaczego.

Lud, który z początku szemrał, widząc Bużalskiego na wolności, powoli począł się uspokajać. Wszystkich przechodzić zaczęła litość na widok niegdyś tak silnego, zdrowego, a dziś tak cieleśnie i moralnie przygnębionego mężczyzny. Wierzący dotąd w winę Bużalskiego zaczęli teraz powątpiewać w to, czego się dotąd tak uporczywie trzymali.

Zewsząd widział Bużalski skierowany ku sobie wzrok. A ten wzrok nie wyrażał teraz najmniejszej ku niemu nieprzyjaźni, niechęci, owszem, czuł w nim życzliwość dla siebie. Czuł, że ci ludzie, którzy podczas jego choroby starali się drzwi w jego mieszkaniu wyważyć, teraz ze skrucłą pragnęliby go prosić o przebaczenie. On im wszystkim przebaczył. Choroba wiele go nauczyła. Poznał, że Pan Bóg pragnął przez nią nie tylko jemu, ale i innym dać zbawieną wskazówkę, aby unikali wódki. Jeśli ci ludzie, którzy go teraz pragną pro-

sić o przebaczenie, posądzali go, że trzymał ze złem, to mieli najzupełniejszą słuszość. Postanowił odtąd trunku tego nie brać do ust, bo on to byłby sprawił, że o mało się nie stał — ofiarą zabobonu.

Cóż się stało z Maryną Kwaśną? — każdy teraz zapyta z ciekawością. Otóż zamiast na Bużalskiego, wydano wyrok na nią, wyrok straszny, jak naonczas, ale sprawiedliwy. Skazano ją na utopienie. Posłano po kapłana dla zatwardziałej grzeszniczcy, aby stojąc już prawie na progu wieczności, weszła w sumienie swe i wyspowiadała się z ciężkich przewinień swych, ale bezbożna kobieta ani o tem słyszeć nie chciała. Jak żyła, tak zeszła z tego świata, bez najmniejszej skruchy, złorzecząc i miotając przekleństwa na wszystkich.

X.

Znowu zawitał spokój i szczęście w zagrodzie Bużalskich. Bużalski z dniem każdym począł przychodzić do sił. Powrócił do dawnej czerstwości, ale coś malowało się teraz na jego twarzy, co pociągało wszystkich szczególnie ku niemu. Znikła z niej dawna żywość, wesołość i buta, a zastąpił to miejsce wyraz dziwnej powagi i miłego spojrzenia. Nie

był to już ten dawny Bużański, o którym mówił pan Maciej że jest do wybitki i wypitki. Święcie on sobie teraz postanowił unikać wszelkich towarzystw i w zaciszu domowem spędzić resztę lat, jakie mu jeszcze Pan Bóg pozostawił tu na ziemi.

Szczególną można też było zauważyć odmianę i w usposobieniu jego. Dawniej za wielki byłby poczytywał sobie zaszczyt, gdyby się był pobratał z burmistrzem, wydając córkę Basię za mąż za wójta ze Sławna. Dziś było inaczej. Wzajemny stosunek między nim a wójtem ochłódł znacznie. Sam nie wiedział, z jakich przyczyn. Obaj czuli do siebie pewien rodzaj odrazy.

Michał tymczasem wciąż odwiedzał mistrza szewskiego. Bużański, który dawniej upatrywał w Michale czeladnika krawieckiego, nic więcej, coraz bardziej przywiązywał się do tego spokojnego, statecznego, pełnego powagi młodzieńca. Matka Basi a i Basia sama zauważyły to ku swej wielkiej radości. Szczególniej Basi serduszko się śmiało i radowało, że ojciec spogląda tak życzliwem okiem na jej ukochanego. W duchu już widziała, że wszelkie zapory są usunięte, że im teraz ku wzajemnemu połączeniu się nic nie stoi na przeszkodzie.

To uczucie dodawało jej nowych sił. Basia Bużalska była znowu tą samą, rumianą, żywą, hożą Basią co dawniej.

A cóż dopiero działo się w duszy Michała? Cały świat wydawał mu się piękniejszy, powabniejszy, weselszy? Czuł w sobie nowe siły do życia. Jak mu się ono teraz uśmiechało? Przed jego wzrokiem duchowym przesuwwały się wszystkie te piękne obrazy przyszłego szczęśliwego pożycia małżeńskiego.

— Basiu! Basiu najdroższa! jakim ja teraz szczęśliwy — mówił niejednokrotnie — gdy wiem, że ty mnie kochasz i że ojciec takim życzliwem na mnie spogląda okiem.

— Pan Bóg radzi o Swej czeladzi — rzekła Basia. — Bóg wszechmocny zesłał na niego tę ciężką chorobę, aby go doświadczyć. To doświadczenie wyszło nie tylko jemu, ale i nam na dobre. Teraz jestem pewną, że nie odmówi nam swego ojcowskiego zezwolenia.

— O Basiu najdroższa!

— O Michale!

— Widzisz Basiu! Niema złego, któreby nie wyszło na dobre. Jakżeś się ty frasowała w tych smutnych dniach, gdzie to ludzkie języki ubiegały się o to, by was wystawić na wstyd i hańbę publiczną. Nie

było tego wcale potrzeba. Przysłowie nasze polskie mówi: „Połóż w Bogu zaufanie, On o tobie ma staranie!“

— Michale kochany! Wiem i czuję to, że pokazałam się wtedy słabą. Ale zapomnijmy o tem wszystkiem. Cieszymy się że Pan Bóg pozwolił ojcu powrócić do zdrowia, by radość i szczęście nasze wzajemne było tem większe.

Wśród tej ich rozmowy weszła żona pana Bużalskiego.

Michał przystąpił do niej i z uszanowaniem ucałował jej rękę.

— Jakże moje dzieci kochane — przemówiła do obojga — pragniecie z pewnością bardzo, abym teraz, kiedy ojciec powrócił do zdrowia, wtajemniczyła go w wasze zamysły. Pewnie tego z niecierpliwością oczekujecie?

Oboje zarumienili się na te słowa po same uszy.

— No dobrze, dobrze! Wiem ja, jak to się ma z dwojga zakochanymi. I ja kiedyś byłam młodą, i mnie, gdy nadchodził czas, pilno było, połączyć się wieczyście węzłem małżeńskim.

Obaj przystąpiwszy do pani majstrowej, z wdzięcznością ucałowali jej rękę.

— Ale jeszcze jedno, Basiu! Co też po-

wie na to wójt ze Sławna, gdy się dowie, że go tak zdradzasz. Oj, będzie on się gniewał na ciebie, gdy się przekona, że przekładasz prostego czeladnika krawieckiego nad niego, wójta ze Sławna, krewnego burmistrza Kiszkowskiego.

Basia stała zakłopotana, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć na to.

— Nie szkodzi! Sercu rozkazywać nie można! Miłość pochodzi od Boga. Bóg pragnie widocznie, aby Michał należał do ciebie, zatem człowiek nie może występować przeciw woli Bożej. — Co Bóg złączy, tego człowiek nie rozłączy.

I jeszcze w tym samym dniu czuła o szczęście dziecka matka postanowiła w sprawie przyszłości córki pomówić z mężem.

Tymczasem niewiadomo, w jaki się to stało sposób, dość, że chciwy nowinek pan Maciej, majster pana Michała, dowiedział się o zamiarach swego czeladnika a ulubieńca. W to mu oczywiście graj.

Postanowił więc czempredziej podzielić się takową z serdecznym swym druham, no i jako pocziwe człeczysko pomódz z miłości chrześcijańskiej panu Michałowi do ożenku.

Zastał pana Bużalskiego, siedzącego w ogródku swym obok domu, przypatrują-

cego się igrającym motylkom, latającym z kwiatka na kwiatek. Ogródek był bardzo ładny i bardzo starannie utrzymywany. Matka i córka z całą zapobiegliwością chodziły koło niego. Po obu jego stronach ciągnęły się drzewka owocowe a pomiędzy niemi wznosiły się całe klomby kwiatków najrozmaitszego rodzaju i koloru. Prawdziwa to była rozkosz napawać się ich widokiem i wonią.

W drugim końcu ogrodu, wśród cienia drzew znajdowała się ławeczka do spoczynku i tu to pan Bużalski przepędzał większą część dnia od czasu ostatniej swej choroby.

Wśród rozmowy ogólnej, w której rozprawiano o rozmaitych rzeczach, jak się to mówi, o wszystkim i o niczem, zapytał się pan Maciej pana Bużalskiego, co myśli robić z córką, boć przecież wszystkim wiadomą jest rzeczą, że wójta ze Sławna nie pragnie za żadne skarby świata całego.

Pan Bużalski zadrżał na tę niespodziewaną nowinę a i pan Maciej nie mniej się wyłakł tej niepowściągliwości języka swego.

— Basia, mospanie, nie pragnie wójta ze Sławna? A któż asanowi to powiedział?

— Można powiedzieć... można po-

wiedzieć ... — jakaś się niezgrabny pan Maciej ... — to niby, można powiedzieć ... opowiadają tak po mieście.

— Opowiadają po mieście? ... Ale któż to Waćpanowi tę nowinę przyniósł. Przecież wróble o niej na dachach nie powiedziały tego chyba Waćpanowi.

Nawarzył sobie pan Maciej niemało piwa. Biedak w zakłopotaniu, jak się teraz wywinać z tej niemiłej sprawy, począł się pocić na całym ciele.

— To niby ... można powiedzieć ... żona moja coś słyszała i opowiadała mi o tem.

— Panie Macieju, mospanie, gadajcie jasno, co opowiedziała wam wasza żona i od kogo ona się tego dowiedziała.

— Pan Michał niby ... można powiedzieć ... wyspowiadał się przed nią ... kocha ją, można powiedzieć, jak swą własną matkę. Powiedział mej żonie, że bez Basi żyć nie może. Wściekłość go przechodzi, gdy pomyśli o tem, że ten, można powiedzieć, wiercipięta wójt ze Sławna ma mieć pierwszeństwo, bo on niby wójt, krewny burmistrza, a mój Michał, to tylko można powiedzieć, mizerny krawczyzna.

— Nie mówże dalej Waćpan, panie Macieju. Jak mi Bóg miły, nie jestem już

więcej tym dawnym Bużańskim — o! co nie, to nie.

— A więc nie odrzucacie mego kochanego Michała! — zawołał rozczulony pan Maciej. — Bóg wam zapłaci za to! Wiedźcie, że Basia, można powiedzieć, sprzyja panu Michałowi, a o wójcie słyszeć nie chce.

— Skoro tak, to im jak najchętniej udzielię ojcowskiego błogosławieństwa. Ale cóż też powie na to żona moja. Dozwólcie zatem, że wpierw z nią pomówię. Z pewnością będzie ona już wiedziała, jak rzeczy stoją, bo wiecie dobrze, że kobiety w takich sprawach lepiej są obeznane, jak my mężczyźni.

— Oj, święta to, można powiedzieć, prawda! Powiadam aści, że mnie już dawno podpadło, że Michał stał się od niejakiegoś czasu jakiś małomówny, zamyślony. Mnie, można powiedzieć, dziwiło to bardzo. Pytałem się go, co mu brakuje, czy chory, żeby się tedy udał do lekarza. Ale Michał twierdził, że nie. — Cóż mu tedy u licha może brakować — pomyślałem sobie. Postanowiłem więc zapytać się żony, bo jak wiecie, pan Michał ma do niej większe jeszcze, można powiedzieć, zaufanie, jak do mnie. Kobieta z początku wzdrygała ramionami, ale ja jej nie wierzyłem, żeby ona

nie nie wiedziała. Nareszcie przyznała mi się, że pan Michał upodobał sobie w waszej córce i że wzdycha i cierpi dlatego, ponieważ zdawało mu się, że wy mu nie sprzyjacie.

— Co prawda — odrzekł Bużalski — pragnąłem szczerze przed mą chorobą, aby Basia wyszła za wójta. Wtedy byłbym z pewnością wszystko dał za to, aby Basia była panią wójtową. Dziś jednak myślę inaczej. Czyż to nie wiecie, z jaką troskliwością chodził około mej choroby? O, ja dobrze czuję teraz, że Basia będzie z nim szczęśliwą. Dziś jeszcze pomówię z moją gospodynią, a wy tymczasem, panie Macieju, nie mówcie nic Michałowi o tem, o czemeśmy mówili. Niech ja sam z nim o tem pogadam.

I dwaj serdeczni przyjaciele pożegnali się. Pan Bużalski udał się do mieszkania, gdzie zastał żonę i Basię, krzątające się około gospodarstwa.

— No i cóż Basiu — zaczął do niej głosem serdecznym, który u niego nie był dotąd w zwyczaju — powiedz mi szczerze, cóż mam ci sprawić za uciechę, żeś mnie wśród mej choroby tak troskliwie pielęgnowała?

Basia zarumieniła się po same uszy

i przystąpiwszy do niego, ucałowała mu rękę. Matka jej tymczasem spojrzała z zadziwieniem na męża. Pan Bużalski spostrzegł to i uśmiechnął się znacząco.

— Ale pewniebyś tak zawsze jednak przy ojcu zostać nie chciała.

Basia nic na to nie odrzekła. Spoglądała jeno z wzrastającym zakłopotaniem na ojca.

— Wiem ja to — i u ciebie serduszko zaczyna się żywiej odzywać. Zdaje mi się, że nawet wiem, dla kogo.

— Ojczulku, ja wolę pozostać przy tobie — wtrąciła na to Basia, gdyż była pewną, że ojciec pragnie wymówić nazwisko nienawistnego jej wójta.

— No! a cóżby wtedy pan Michał powiedział na to?

Basia na te słowa spaşowiała jak wişnia. Stała jak w ogniu. Wszystkiego się spodziewała, ale nie przypuszczała, żeby ojciec coś wiedział o tem, że ona sprzyjała Michałowi, a tem mniej, żeby mogła uwierzyć, iż ojciec temu związkowi tak od razu będzie przychylny.

Nie mogła się w pierwszej chwili zdobyć na odpowiedź. Za nagle ją zaskoczyła. Czuła naraz w sobie taki ogrom szczęścia, że zaćmiło jej się w oczach i byłaby z pe-

wnością upadła, gdyby ojciec nie był jej podtrzymał.

Z przywartemi oczyma spoczywała tak Basia na ramieniu ojca, który rozrzewniony, począł twarz posłusznej, statecznej córki swojej okrywać serdecznymi pocałunkami. Powoli zaczęła Basia przychodzić do siebie i pierwszą jej czynnością było upaść ojcu do nóg i podziękować za doznane szczęście.

W tym samym jeszcze dniu znalazł się i Michał u pana Bużalskiego. Ale zanim ten przyszedł do tego, aby Michałowi okazać swą życzliwość, już Basia go wyprzedziła i z rozpromienioną twarzą mu oświadczyła, że ojciec chętnie go pragnie widzieć swym zięciem.

Już w następne Niedzielę odbyły się uroczyste zaręczyny obojga tak ciężko doświadczonych młodych ludzi. Zgromadziło się wielu obywateli z miasta i okolicy, znających pana Bużalskiego, ażeby powinszować mu najprzód zdrowia a następnie złożyć młodym swe życzenia.

Najwięcej rozczulał się już pan Maciej. Kochał Michała, jak swego własnego syna i dlatego cieszył się jak ojciec z szczęścia jego. Wszyscy też serdeczne składali życzenia obojgu.

— Ja Waćpanowi z całego serca życzę, aby się mu na tym, można powiedzieć, świecie, jak najlepiej powodziło. Mój Boże! jak to człowiek sobie przypomni młode lata, kiedy to o swą Marysię się ubiegał, z którą to, można powiedzieć, już blisko czterdzieści latek w szczęśliwym żyje małżeństwie! Nieprawda Maryniu? Przechodziliśmy, można powiedzieć, złą i dobrą dołę, ale znosiliśmy ją z poddaniem się woli Bożej, no i można powiedzieć: Bóg zasłucił, Bóg pocieszył, dożyliśmy szczęśliwej starości.

Wszyscy z wzruszeniem spoglądali na pocziwą twarz Macieja, którego mimo jego małych ułomności, od których zresztą żaden człowiek na świecie nie jest wolnym, poważano w mieście jako zacnego obywatela. Nigdy bowiem nie uważał się za lepszego, jak inni to czynią, z każdym był w przyjaźni i dlatego wszyscy go lubili.

Ale kończmy nasze opowiadanie.

Michał pragnął w Gnieźnie utworzyć teraz warsztat krawiecki i tam wprowadzić ukochaną Basię swoją oraz zabrać ze sobą i rodziców jej, którymby z córką, jak mu się zdawało, trudno się było rozstać. Pragnął się jednak rozmówić w tym względzie z przyszłym swym teściem.

— Panie Bużalski, ojcie kochany, jeśli mi tak wolno już Waszmość nazywać — odezwał się do niego raz wieczorem, kiedy po pracy całodziennej poszedł go odwiedzić a przytem zobaczyć się z swą Basią. — Otóż pragnę być godnym zięciem Waszmości i zgotować w miarę możności przyjemną przyszłość Basi a i was, kochani rodzice, pragnąłbym mieć w pobliżu siebie. Pragnę sprowadzić się do Gniezna, tam założyć warsztat i moje rzemiosło jako samodzielny krawiec prowadzić. Byłoby można najlepiej, gdybyście się wraz ze mną przenieśli do Gniezna i tam w spokoju przy boku córki i kochającego was syna przepędzić resztę lat.

— O nie, kochany Michale, ja siedziby mej, po ojcach odziedziczonej, opuścić nie myślę. Tu się urodziłem, tu spędziłem najpiękniejsze lata mej młodości, tu w najszczęśliwszem pożyciu małżeńskim spędziłem lata moje, tu też pragnę, gdy mię Bóg powoła do siebie, złożyć kości moje.

— Któż was będzie jednak pielegnował na stare lata wasze, a nam wiecznie będzie czegoś nie dostawało, gdy was przy boku naszym mieć nie będziemy.

— Pan Bóg radzi o swej czeladzi, kochany Michale. Mamy jeszcze dzięki Bogu przyjaciół, z którymi przeżyliśmy złe i do-

bre chwile w życiu naszym. Mam jeszcze mego pocziwego Macieja, z którym mię wiąże serdeczna przyjaźń.

Wśród tej rozmowy wszedł do mieszkania pana Bużalskiego pan Maciej.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków — odpowiedziano mu. — O czem to Waćpanowie, można powiedzieć, tak gwarzycie ze sobą. Czy można też posłuchać?

— Waćpan, panie Macieju, przybyłeś właśnie w samą porę — rzekł pan Michał. — Otóż powiedziałem panu Bużalskiemu, że pragnę opuścić Kiskowo, aby osieść w Gnieźnie i tam jako samodzielny obywatel usłać sobie gniazdko.

— Panie Michale, cóż to Waćpanowi w głowie, a czyż to już, można powiedzieć, i w Kiskowie nie można zarobić uczciwie na chleb? Kto zaś widział, opuszczać swych dobrodziejów i przyjaciół na stare lata. Ja umyśliłem Waćpanowi panie Michale, zrobić niespodziankę, a Waćpan zamyślasz porzucić nas? Czyż to stary Maciej, można powiedzieć, który Waćpana kochał jak własnego syna, nie zasłużył sobie na to, aby się wypowiadać ze swych zamiarów?

Michała wzruszyły do żywego te nie-

jako słuszne wyrzuty swego chlebowdawcy. Pochwycił rękę pana Macieja i ucałował ją z uszanowaniem.

— Nie, panie Michale, mnie się zdaje, że Waćpan wnet zapomnisz o swym panu Macieju!

Michałowi łzy zakręciły się w oczach. Maciej zaś ciągnął dalej:

— Myślałem ja, że kiedy się obaj pobierzecie, zostaniecie tu w Kiskowie. Ja Waćpanu zamyślałem odstąpić mój warsztat i sam na stare lata wypocząć.

— Panie Macieju, chlebowdawco kochany. Za wiele łaski dla mnie. Jam niegodzien takiego dobrodziejstwa.

— Nie mówże Waćpan już nic więcej. Waćpan mnie nie kochasz, bo inaczej zostałbyś u nas w Kiskowie. Nie opuszczałbyś swego pana Macieja na jego stare lata.

— Toć już zostanę. Czemże ja sobie jednak zasłużyłem na tyle szczęścia!

— Waćpan byłeś zawsze porządnym, statecznym, pobożnym młodzieńcem. Niech Bóg szczęści Waćpanowi w dalszem życiu.

I Maciej rozczulony chwycił Michała w swe objęcia.

*

*

*

W miesiąc później czcigodny pleban kiskowski połączył ręce Michała i Basi,

aby od tej chwili należeli na zawsze do siebie.

Pan Bużalski w długie jeszcze lata cieszył się szczęściem córki swej a gdy umarł, całe Kiszkowo i okolica zgromadziła się na pogrzeb jego, aby oddać ostatnią przysługę zacnemu mistrzowi szewskiemu i obywatelowi.

Pan Maciej o kilka lat wprzód rozłączył się na tym świecie z swym przyjacielem Bużalskim.

Młodzi małżonkowie zaś żyli jeszcze długie lata w szczęściu i radości w otoczeniu licznych dzieci i wnuków, szanowani i kochani od wszystkich.

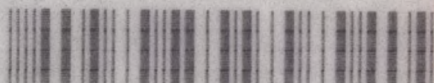
KONIEC.



Czcionkami Karola Miarki w Mikołowie.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

7571 S



001-007571-00-0